№ 30. Warszawa, dnia 26 (14) Lipca 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

REKINY.

Koło naszej nawy społecznej uwija się gromada dziennikarskich rekinów, czyhających na zdobycz — na śmierć w załodze, na wypadek, na nieostrożność, na lekkomyślną igraszkę, która pozwala ściągnąć kogoś w otchłań i nasycić nieustający głód politycznej żarłoczności. Znamy te ryby, nawet po imieniu, oswoiliśmy się z ich paszczami, spokojnie obserwujemy ich zwinne obroty. Od czasu do czasu jednak trzeba wziąść harpun, zaostrzyć go, o ile warunki pozwalają, i wbić w kark tej, która się najzuchwalej ku statkowi podsunie.

Jednym z takich rekinów jest wiedeńska *Neue Freie Presse*, spodlony i przedajny organ, którego miłości polacy nie kupili i który za to nienawiścią swą ich prześladuje. Dość, gdy ktoś niemiecką kozę odpędzi od polskiej wierzby, dość gdy na ciele naszem wyrzuci się najzwyklejszy pryszcz, ażeby ta hyena germanizmu zawyła natychmiast złowrogo, ażeby ta kuglarka wskazała w naszem łonie źródło niebezpieczeństw dla całej Europy. Przyznać trzeba, że w tej robocie mimowolnie pomagają jej niepoprawne w swej bezkrytyczności i plotkarstwie reporterskiem zagraniczne dzienniki polskie, dla których, mimo tylu przestróg i skarg, wszelka plotka krzykliwa jest dobrą i wiarogodną. Wprawdzie mętny ten napływ odcedzają one tak, że zawsze w durszlaku zostaje nasza bezwzględna niewinność, ale to nie przeszkadza szalbierzom niemieckim przyprawiać wieści według własnego smaku.

Jedna z gazet krakowskich zamieściła świeżo roztelegrafowane po całej Europie a drastyczne doniesienie, które było dość lekkomyślnem fajerwerkiem. Jak dalece prawdomówność naszej prasy zakordonowej straciła u obcych kredyt, dowodem właśnie sama ta wieść, którą w poważnych dziennikach niemieckich opatrzono przykrem dla nas, a zwykle powtarzanem ostrzeżeniem: „ponieważ to pismo często rozszerza wiadomości sensacyjne, należy więc czekać potwierdzenia." Nie czekała go, naturalnie, *Neie Freie Presse*, która wszelkie tego rodzaju kaczki pożądliwie łapie i każe im wysiadywać krucze jaja. Według niej Warszawę socyaliści stoczyli jak krety, a zaślepiona Europa powinna przecież raz przejrzeć, gdzie są ich nory. Pozwolilibyśmy tej denuncyacyi przebrzmieć swobodnie wraz z całym chórem kłamanych przeciw nam oskarżeń, gdybyśmy nie spodziewali się harmonijnego odkrzyknięcia na nią z innej strony i gdyby ona nie wyzyskiwała pewnych pozorów.

Ile razy prasa warszawska machinalnie powtarzała bezmyślny frazes, że „grunt nasz," różny od wszystkich innych, nie przyjmie takiego lub innego posiewu, który rozrasta się wszędzie, wyśmiewaliśmy tę przechwałkę, a fakty przekonały, żeśmy słusznie. Przepowiadaliśmy, że antisemityzm, który długo ostęplowywano marką rosyjską lub niemiecką, przyjdzie do nas i przyszedł. Podobnie rzecz się ma z socyalizmem. Czy jego agitatorowie są u nas *in corpore*, nie badamy, ale gdyby się znaleźli, uważalibyśmy to za objaw naturalny, bo tłomaczący się procesem, ogarniającym całą Europę a więc i nas, niewyłączonych wcale z jej przesileń ekonomicznych. Inaczej wszakże sprawa ta wygląda, jeśli spytamy, czy ten prąd z kierunkiem *rewolucyjnym* i *międzynarodowym* może rozlać się szeroko po za szczupłe koło głów zagorzałych? Otóż w tym punkcie prasa warszawska miała względną słuszność a *Neue Freie Presse* i cała gromada naśladujących ją małp, obok niegodziwości, zdradza grubą nieznajomość stosunków. Socyalizm polski odrazu skręcił kark, stanąwszy na stanowisku międzynarodowem. Dlatego zwerbował bardzo nieliczną rzeszę zwolenników, dlatego nie pozyskał ani jednej tęższej siły umysłowej, dlatego nie znalazł odgłosu śród robotników, dlatego, wywędrowawszy do Szwajcaryi, młóci wiązkę pustych frazeologicznych grochowin, z których jeśli wypadnie czasem jakie ziarno Marxa lub Lassalle'a, to robaczywe. Pomijając inteligencyę, liberalną i konserwatywną, której odporność posądzać można o pobudki samolubne, nawet klasy najuboższe, proletaryat nasz nie da się większą masą porwać okrzykowi: „robotnicy wszystkich krajów łączcie się!" On bowiem, słabiej lub silniej, z większą lub mniejszą świadomością, odczuwa potrzeby i prawa własnego kraju i nie może wypowiedzieć walki *swojemu* kapitałowi, z którym łączy go wspólność bliższa, niż sympatya dla *cudzej* niedoli. Miejscowy kapitalista daje mu źle wynagradzaną, ale daje pracę, niemiecki „brat" przynosi zagładę. Po nad chęcią napełnienia żołądka, użycia wygody i dostatku unosi się w jego przekonaniach idea szczęścia milionów braci rzeczywistych, która go olśniewa moralnie i zapowiada mu wiele korzyści materyalnych. Zapewne, idea ta nie świeci jasno jako gwiazda przewodnia myślom każdego ślusarza, szewca lub rolnika, ale rozpływa się w jego krwi, czyni go mniej wrażliwym na inne, a przedewszystkiem na marzenia kosmopolityczne. Jedna wojna porwała lub potargała węzły między robotnikami francuskimi a niemieckimi; jakże socyalista może wymagać, ażeby polscy wynaturzyli się z gruntu i zapomnieli daleko więcej i daleko boleśniejszych wspomnień? Gdyby ich nawet opuściła własna świadomość, to nie uwolni z pod swego potężnego wpływu atmosfera moralna społeczeństwa, z której oni ciągle wdychają pierwiastki dążeń narodowych. Socyalizm w najpoważniejszych swych

przejawach był bardzo bystrym i głębokim krytykiem, ale nigdy nie był psychologiem; polski zaś młodzieńczy i często niedowarzony, stracił zupełnie z oczu rzeczywistość i naturę ludzi, których chce zbawić. Dlatego marnuje bezpłodnie energię, łudzi się skutkami swych działań, przecenia ich siły, podrabia tryumfy i ciągle pozostaje oderwaną od społeczeństwa garstką błędnych ogników, którą wiatr po świecie rozrzuca i kolejno zdmuchuje. Nikogo one nie ogrzewają a niewielu na trzęsawiska wabią. I dopóki ogół nasz spojony będzie walką o byt, dopóty łamanie go i zlepianie jego części z elementami obcymi nie przejdzie po za granicę drobnych awantur. Walka ta nie powstrzyma rozwoju zasad demokratycznych i dążeń do poprawy losu klas pracujących, ale ten postęp swoją pochodnią będzie tylko oświecał drogę, a nie podpali nią gmachu narodowego. W głowy naszego ludu można kłaść wiedzę, ale do rąk dynamitu — nie. Patryotyzm go zawsze z niej wytrąci. To też jeżeli odsuniemy złą wiarę i krwiożerczą dzikość, trzeba się zdumiewać nad fanatyzmem wrogich nam publicystów, którzy w imię interesu państwowego radziby zdławić i z serc wydrzeć to uczucie, ubezpieczające właśnie państwo ze strony najgroźniejszej. Gdyby najgorętsze życzenia Strannikow i Muraszkow spełniły się u nas, zyskałaby na tem tylko anarchia socyalistyczna.

Nie twierdzimy, że proletaryat nasz w innych warunkach, zobojętniony i uspokojony narodowościowo, byłby łagodnym barankiem, pozwalającym się strzydz kapitałowi bez oporu. Ale dziś, zwłaszcza dziś, wilkiem socyalistycznym nie jest i mimo wszelkich namów być nim nie może; współczuwające zaś z nim żywioły oświeceńsze odrzucają tylko bardzo maleńki procent na korzyść międzynarodówki. Jeżeli o tem *Neue Freie Presse* wraz z czeredą swych miejscowych i zagranicznych współwyznawców nie wie lub wiedzieć nie chce, niech rozwiera rękinie szczęki. Denuncyacye swoje przeznacza dla prokuratorów, ale na nieszczęście dla niej prokuratorowie nie z gazet układają swe akty oskarżenia.

ZUŻYTA KREW.

W jesieni przypadają nowe wybory do sejmu rzeszy niemieckiej. Z tego powodu niektóre zagraniczne pisma polskie wyrażają nadzieję, że Poznańskie powoła nowe siły, które energiczniej wysuną na plan główny sprawy narodowe i nie będą bezmyślnymi trabantami Windhorsta. Według *Gazety frankfurckiej* pierwszy zarzut niesłusznie dotyka dotychczasowych posłów poznańskich, którym należałoby raczej zrobić odwrotny; natomiast drugi ma najsprawiedliwszą podstawę. „Posłowie ci—powiada ów dziennik — troszczą się *tylko* o sprawy narodowe, jeszcze także o „kulturkampf“ (walkę religijną), ale o pozostałe doniosłe kwestye, wypełniające sesyę parlamentarną, bardzo mało lub wcale nic. Byłoby to niezłem, gdyby w ważnych głosowaniach, jak to nieraz czynili dawniej, chcieli nie uczestniczyć. Niestety, tak nie postępują, lecz gdy ich p. Windhorst potrzebuje, stawają do ostatecznego balotowania; nazwa przeto „bezmyślnych trabantów“ nie jest zbyt ostrą. Stosunek taki uderza zwłaszcza tem, że 18 posłów polskich w obecnym sejmie rozstrzygało o ważnych prawach. Rzeczywiście, umożliwili oni dopiero swoimi głosami w ostatnich trzech latach większą część środków reakcyjnych. Pewna liczba uchwał prawa o zabezpieczeniu robotników, przedewszystkiem najgorsze przepisy noweli przemysłowej, projekt Ackermana o stowarzyszeniach — wszystkie te ustawy zyskały większość jedynie dzięki polakom. Na szczególną uwagę zasługiwała decydująca rola, którą to małe stronnictwo odegrało w ostatniej sesyi przy wniosku o podwyższeniu cła od drzewa. Wiadomo było, że polacy w swem ręku trzymają losy tego prawa. Przez całe tygodnie rozbierano na korytarzach parlamentu pytanie: jak głosować będą? Tymczasem oni widocznie do ostatniej chwili nie byli zdecydowani. Dopiero na kilka minut przed ostatecznem głosowaniem imiennem Magdziński oświadczył, że jego towarzysze są przeciw projektowi. Była to wszakże jedyna ważna decyzya w całym okresie prawodawczym, która oddzieliła polaków od centrum (katolicy). Zwykle odpowiadali jego życzeniom. Można to sobie objaśnić tylko pewną obojętnością na wszelkie kwestye, które bezpośrednio nie dotyczą interesu narodowego. Śród 18 bowiem polskich panów nie gości wcale tak bezwarunkowa zgoda w zapatrywaniach ekonomicznych i politycznych, jakby wnosić należało z tego bezwarunkowego związku z centrum... Owa obojętność wyraża się tem, że polacy po większej części na głosowania przybywają w połowie, w rozprawach bardzo rzadko przyjmują udział. Stanowią też oni uderzające przeciwieństwo z ruchliwością innych partyj drobnych sejmu.“

Przytoczyliśmy te uwagi gazety niemieckiej, gdyż one dość trafnie charakteryzują działalność poznańczyków w sejmie. Zupełne usuwanie się od spraw, niewchodzących bezpośrednio w zakres patryotyzmu, bezwzględne niemal wysługiwanie się ultramontanom, nieumiejętność w wyzyskiwaniu decydującej roli — oto znamiona koła polskiego w parlamencie niemieckim, które niejednokrotnie wskazywaliśmy i które musiały już uprzykrzyć się nawet odurzonym wielkością swych posłów poznańczykom, skoro prasa żąda od nowych wyborów nieco świeżej krwi. Istotnie przydałaby się ona ich przedstawicielstwu bardzo. Posiada ono dotąd ludzi bardzo uczciwych, patryotów rzetelnych, ale nie polityków, umiejących korzystać z okoliczności, nie dzielnych mówców, przechylających szale sejmowe. Ich elegie, skargi, prośby — sło-

---

4)

KARDYNAŁ

przez

Zofię Junghans.

„Oratorium,“ w którem się właśnie znajdował kardynał w tej chwili, był to pokój w jednej z dalszych części obszernego pałacu, od strony małej uliczki przytykającej do klasztoru. Okna w nim były szczelnie zakryte drewnianemi okiennicami, a te mocnemi, żelaznemi sztabami obwarowane, jak to mógł spostrzedz każdy, kto by podjął ciężkie z brokateli firanki od wnętrza. Teraz, wśród dnia, pokój oświecony był sztucznem światłem, za pomocą świec woskowych, umieszczonych w bronzowych świecznikach, przytwierdzonych do ściany.

Nie było tam ani klęcznika, ani krucyfiksu, ani nic takiego, coby przypominało o duchownym stanie, z wyjątkiem tylko osoby samego kardynała. Stał on z rękami na piersi skrzyżowanemi w środku pokoju; o kilka kroków dalej znajdowało się niskie łóżko, na nim w postawie na pół siedzącej kobieta z potarganym włosem, z sino-blademi ustami; oczy jej, o rozszerzonych źrenicach niezwykłym gorzały blaskiem—odbijał się w nich rodzaj pewnego obłędu.

Riario w milczeniu przypatrywał się jej. Czy go wzruszała zmiana, jaka w niej zaszła przez kilka godzin? Czy w tej twarzy, wyrażającej udręczenie i strach śmiertelny, szukał rysów klasycznej piękności, a zarazem zachwycającego wdzięku, które wczoraj jeszcze zdobił nietknięty blask młodości, jak tchnienie i rosa poranku na świeżo rozkwitłej róży?

Zbliżył się do łoża. Wtedy ona zerwała się, rzuciła w kąt pokoju, z wyciągniętemi naprzód rękami. Wobec łagodności i spokoju eminencyi, taką oznakę niezmiernej trwogi można było istotnie wziąść za szaleństwo.

Gdy kardynał nie ruszał się z miejsca i nie myślał jej ścigać, padła na kolana, zawsze jeszcze jak najbliżej przyciskając się do ściany.

— Uspokójże się nareszcie, Gelsomino— rzekł, nie poruszając się z miejsca, a w głosie jego brzmiał lekki odcień niecierpliwości. Jesteś tu tymczasem bezpieczną zupełnie. A może uda mi się wpłynąć, że jego arcybiskupia mość, przez szczególne względy, mnie poleci przesłuchanie cię. Nie będę srogim dla ciebie sędzią, Gelsomino.

Dziewczę się podniosło. Obiema rękami odrzuciła w tył ciężkie zwoje włosów i z przygnębieniem, budzącem litość, przesunęła ręką po czole, jakby chciała zatrzeć w pamięci to, co zaciemniało niby mgła krwawa, jej umysł i mąciło rozsądek.

— Porwali mnie z domu — zaczęła mówić na pół szeptem, utkwiwszy oczy w stojącą przed nią postać, lecz z takim wyrazem, jakby nic nie widziała; — wrzucili do strasznego więzienia i powiedzieli, że jestem przeklętą czarownicą, że szatan siedzi we mnie i że go wydobyć potrafią.

Zadrżała.

— Cały dzień leżałam na wilgotnej słomie, próbowałam rozbić sobie głowę o kamienne mury ze strachu przed tem, co mnie czekało. Czemuż mi się to nie udało!

Głos jej przyciszył się jeszcze, jakby chciała znaczenie słów swoich ukryć przed tym, w którego się błędnym wpatrywała wzrokiem.

— Czemuż mi się to nie udało, nim mnie tu przyprowadzono!

— Nie doznasz tu żadnego cierpienia, Gelsomino — rzekł Riario łagodnie.

— Któż wy jesteście, że chcecie ocalić ofiarę na stos przeznaczoną? — spytała. Musicie być możnym panem, tak, jesteście panem potężnym, znam was.

— Bardzo być może, moje dziecko — rzekł Riario z lekkim uśmiechem.

— Widziałam was — mówiła dalej — w innym ubiorze, ale poznałam was jednak... i wtedy wiedziałam, że jestem zgubioną.

— Mówisz od rzeczy, Gelsomino — odezwał się Riario, jakby zmuszony do surowości wobec tego obłędu. Jakże byś mię

wem cała liryka parlamentarna bywa nieraz rozrzewniającą, ale nie wzrusza chłodnego i praktycznego rozumu przeciwników, nadmierna zaś pobożność często ich rozśmiesza. Sprawozdania stenograficzne z posiedzeń sejmowych zwykle ledwie zaznaczają ogólnikowo przemówienia Magdzińskich i Stablewskich. Bóg — papież — duchowieństwo katolickie — i zaprzysiężone traktaty — oto stałe motywy tych elegij, przy których niemcy smacznie chrapią. Nie ma człowieka między posłami poznańskiemi, któryby ich umiał budzić.

APAGE SATANAS!

O socyalizmie i socyalistach mówią dziś wszyscy. Jedni w nowych prądach, nurtujących łono społeczeństw i od czasu do czasu wybuchających to na jednym, to na drugim krańcu świata ucywilizowanego, widzą zapowiedź szczęśliwej dla ludzkości ery, innym na samo wspomnienie owych ruchów staje przed oczami krwawe widmo rewolucyi, pożogi i zniszczenia. Najmniej zaś jest takich, którzyby umieli sobie dokładnie zdać sprawę z tego, jakie jest właściwe źródło i znaczenie tych ruchów, jakim był stopniowy ich rozwój, do jakich wreszcie obecnie doszły one rozmiarów.

Nastręcza nam ku temu sposobność świeżo o tym przedmiocie wydane dzieło niemieckie *), którego autor, dosyć charakterystycznie na karcie tytułowej obok nazwiska swego położywszy godność „Regierungsassessor,“ przyrzeka wprawdzie być objektywnym i wnioski z przedstawionego materyału faktycznego pozostawić sądowi czytelników; ale obietnicy tej nie dotrzymuje. Odrzuciwszy wszakże na stronę fantazye „regierungasesorskie,“ przyznać należy, że rzecz sama bardzo pracowicie i z pewnym zasobem umiejętności jest ułożoną, a stąd do wyświetlenia niejednej kwestyi posłużyć może.

Zacher zaczyna od naszkicowania stanu sprawy socyalnej w Niemczech. Można mu to wybaczyć, choćby z powodu, że niemcem był Karol Marx, który pierwszy około połowy bieżącego stulecia poruszył tę sprawę i w r. 1848 już z polecenia „związku komunistów“ (rezydującego naprzód w Londynie, a potem w Kolonii) ogłosił tak zw. „manifest komunistowski,“ dotąd jeszcze stanowiący podstawę wszelkiego socyalizmu międzynarodowego, oraz że ten sam Marx również, gdy w r. 1864 w Londynie zawiązał się „internacyonał,“ czyli pierwsze międzynarodowe stowarzyszenie robotników—wypracował dlań program i statuty. Program ten, uchwalony na międzynarodowym kongresie robotników w St. Martins-Hall, w Londynie, przedewszystkiem zasługuje na poznanie. „Zważywszy — powiedziano w nim —że emancypacya klas pracujących przez nie same zdobytą być musi, że walka o emancypacyę ową nie jest podjęta w obronie przywilejów stanowych i monopolu, lecz w celu wywalczenia równych praw i obowiązków i zniesienia wszelkiego władztwa kastowego; że ekonomiczna zawisłość pracy człowieka od narzędzi monopolisty, owych źródeł życia, jest podstawą niewolnictwa wszelkiego kształtu, nędzy społecznej, upadku duchowego i politycznego poddaństwa; że przeto emancypacya ekonomiczna klas pracujących jest owym wielkim celem, któremu wszelkie ruchy polityczne, jako jedyne środki pomocnicze, powinny być podporządkowane; że wszystkie ku wielkiemu temu celowi skierowane usiłowania dotychczas rozbijały się o brak solidarności pomiędzy rozlicznemi gałęziami pracy każdego kraju z osobna i o nieistnienie węzła bratniej jedności pomiędzy klasami pracującemi wszech ziem; że emancypacya pracy nie jest sprawą ani miejscową, ani narodową, ale socyalną, obejmującą wszystkie kraje, w których żyje społeczeństwo nowoczesne; że w rozstrzygnięciu swojem zawisła od praktycznego i teoretycznego współdziałania krajów na drodze postępu najbardziej posuniętych; że obecne zmartwychwstanie klas pracujących w krajach przemysłowych Europy, budząc nowe nadzieje, mieści zarazem przestrogę przed dawnymi błędami i wymaga związku bezpośredniego pomiędzy rozstrzelonymi jeszcze prądami — z tych powodów pierwszy międzynarodowy kongres robotników oświadcza: że międzynarodowe stowarzyszenie robotników i wszystkie należące do niego zgromadzenia i jednostki uznają prawdę, prawo i moralność za podstawę zachowania się swego pomiędzy sobą i względem wszystkich współludzi, nie wchodząc w to, jakiego kto jest koloru, wyznania lub narodowości. Kongres poczytuje za obowiązek każdego człowieka domagać się praw ludzkich i obywatelskich, nietylko dla siebie samego, ale dla każdego, kto spełnia swój obowiązek. Nie ma praw bez obowiązków, nie ma obowiązków bez praw.“

Oto jest treść manifestu owego i oto zarazem zasady, na tle których osnuty został socyalizm we wszystkich krajach, gdzie tylko znalazł grunt podatny. A gdzież go nie znalazł? Różnice tylko zachodzą pod względem mniej lub więcej radykalnego sposobu stosowania tych zasad w praktyce. Podczas gdy jedni z socyalistów dotychczasowy porządek społeczny uważają za tak zmurszały i zepsuty, iż wszelkiemi siłami dążą do jego wywrócenia i zburzenia, nie troszcząc się wcale o to, co wejdzie na miejsce strąconych ideałów; inni, niemniej wychodząc ze stanowiska nieodpowiedniości istniejącego stanu rzeczy, uznają jednak, że ze stanem tym rachować się należy, że stosunki obecne z dnia na dzień zmienić się nie dadzą i że dlatego, aby dojść do odrodzenia ludzkości i jej wyswobodzenia potrzeba całego szeregu instytucyj przygotowawczych, przejściowych, którym też najtroskliwszą poświęcają uwagę. Piewsi stanowią tak zwaną partyę anarchistów, której początek dali niewątpliwie teorye i działania Lassalle'a (?), rozwinęli zaś ją i ostatecznie wykończyli kierownicy tacy, jak: Schweitzer, Most, Hasselman i ich zwolennicy w Niemczech; Pyat, Eudes, Gautier, Digeon, Ludwika Michel, Paula Mink — we Francyi; Henryk George, O'Donawan Rossa, Davitt, O'Conor, Parnell i inni — w Anglii łącznie ze Szkocyą i Irlandyą; Cezar Paepe — w Belgii; Garibaldi i Malatesta — we Włoszech itd. itd. Drugi odłam wielkiego obozu socyalistów tworzą t. z. „umiarkowani,“ czyli demokraci socyalni, w Niemczech zostający pod wodzą deputowanego Bebela i Liebknechta, we Francyi noszący miano „oportunistów,“ a w Anglii silnie popierani przez założony w r. 1882 związek socyalno - demokratyczny (Socialdemocraticfederation of England).

Ażeby sobie choć przybliżone wytworzyć pojęcie o postępie socyalizmu w Niemczech, dość zastanowić się nad kilku cyframi przez Zachera podanemi. W r. 1877 już partya

*) *Die rothe Internationale*, Berlin 1884.

---

inaczej widzieć mogła, nie w tej sukni, której nie zdejmuję nigdy?

Patrzyła na niego ciągle z tym samym wyrazem; zdawało się, że jego słowa żadnego na niej nie robią wrażenia. Nagle myśl jakaś szaloną przejęła ją obawą; padła znowu na kolana i rzuciła się przed nim twarzą na ziemię.

— Nie każcie mnie palić — zawołała przejmującym głosem, nie chcę ognia! Zaduście mnie przez litość, jeśliście — jeśli — jeśli...

Zęby jej zadzwoniły głośno, twarz przytuliła do podłogi, na którą gęste jej włosy rozsypały się pasmami. Riario czuł się głęboko wzruszonym. Pochylił się nad nią i spróbował podnieść ją łagodnie z ziemi. Ponieważ mu żadnego nie stawiła oporu, uniósł ją zupełnie; ciało jej jak lód było zimne, trzęsła się cała, jakby ją wewnętrzne porwały dreszcze.

Jak dziecku, odgarnął jej lekko włosy z twarzy, z przelotnem zachwyceniem podziwiając ich obfitość. Potem przyprowadził ją do krzesła.

— Zapomnij o tych godzinach trwogi, moja córko — rzekł. Zaufaj mi, będziesz żyła szczęśliwa!

Znowu przez chwilę przypatrywał jej się w milczeniu. Spokojną była teraz; zdawało się, że nią owładła jakaś apatya, nie czuła namiętnego spojrzenia, które obejmowało postać jej całą.

— Musisz przez jakiś czas pozostawać tu w ukryciu — przemówił nareszcie Riario; konieczne to dla twego bezpieczeństwa. Przyślę tu żonę mego zaufanego sługi, potrzebujesz kobiecej pomocy. Nie dotknęłaś pożywienia — dodał, rzucając okiem na stół, na którym się znajdował chleb, wino i owoce. Posil się, dziecko, a potem staraj się spocząć!

Odszedł nareszcie, chwilę jeszcze zatrzymawszy się na progu. Daremnie — ani razu nie podniosły się długie rzęsy, a w oczach nie widać było, że jego słowa dosięgły jej uszu.

Tymczasem, w ciągu całej tej sceny znajdował się zaledwie o kilkaset kroków od Gelsominy ten, który, jeśliby tu był obecnym, prawdopodobnie kardynała Feo Riario zadusiłby własnemi rękami.

Tommaso przez czas jakiś bez celu włóczył się po ulicach, a następnie znalazł się znowu u bram pałacu kardynała, sam nie wiedząc, jaką drogą tam się dostał. Usiadł na kamiennej ławce, ciągnącej się wzdłuż całej frontowej strony; przyłączył się do niego odźwierny Jacopo. Na tem miejscu, gdzie niraz odpoczywał motłoch, złodzieje i żebracy, siedział dumny artysta i czekał, aż jego eminencya raczy przyjąć go łaskawie.

Po chwili wyszedł Piero i wzniósłszy ręce do góry, zapewniał, że na to nigdy nie pozwoli. Niech messer Tommaso wejdzie, już godziny rozmyślania eminencyi skończą się prędko. Wprowadził zatem artystę do izby, znajdującej się obok wysokiego, sklepionego przedsienia, i uprzejmie postawił flaszę wina wraz z kilku kielichami na stole. Niebawem dał się słyszeć znak, wzywający sługę do pana. Piero odszedł i w parę minut powrócił.

— Jeśli wam się teraz podoba, messer Tommaso — rzekł z głębokim ukłonem.

Maso poszedł za nim i wnet stanął przed kardynałem.

Wzrok jego niepokoju i trwogi pełen wpatrzył się w twarz Riaria, usiłując wyczytać na niej, czy dobrej, czy złej spodziewać się może wieści. Ale wyrazu jej przeniknąć nie mógł. Powitanie, jakiem kardynał go spotkał, było uprzejme, lecz o parę odcieni inne niż zwykle, gdy Maso zjawiał się jako artysta, przynosząc mu radośne wieści o sztuce.

Artysta chciał mówić, ale mu słów brakło.

— Odezwijcie się, miłościwy panie — wyrzekł wreszcie ochrypłym głosem ze zbolałej piersi; powiedźcie, co ją czeka: śmierć czy życie? Będzie Gelsomina wolną?

— Prawdopodobnie, mój dobry Tommaso, prawdopodobnie. Oto, czego się dowiedziałem. Stara kobieta, w najwyższym stopniu czarodziejskiej oddana sztuce, na mękach w czasie badania wyznała, że uczęszczała na bezbożne zgromadzenia i dya-

ta posiadała 41 pism politycznych o 150,000 prenumeratorach, liczyła przeszło 400,000 członków stałych, a dochodów obracanych na rozliczne cele agitacyjne, jak: wsparcia, wybory itd. miała 300,000 marek. Przy wyborach do sejmu pruskiego z samego Berlina kandydaci socyalistowscy w r. 1867 mieli tylko 67 głosów, w 1871 już 2058, w 1874—11,279, w 1877—31,522, w 1878—56,147. W latach ostatnich zaś cyfry te bynajmniej nie spadły. Autor też zapytuje: „a prawo przeciwko socyalistom żadnego nie wydało skutku?“ „Z agitacyi jawnej przemieniło socyalizm na tajną i wątpić należy, aby ta agitacya była mniejszą, niż przed ogłoszeniem prawa“ — odpowiada z rezygnacyą.

Co do stanowiska partyi socyalnej względem usiłowań reform, w tym kierunku podjętych przez rząd niemiecki, wypowiedziała ona jasno swój pogląd na kongresie robotników (1883) w Kopenhadze wobec 60 delegatów, pomiędzy którymi byli przedstawiciele socyalistów niemieckich z Zurychu, Paryża i Londynu. W protokóle czytamy: „Kongres nie wierzy ani w uczciwość zamiarów, ani w zdolność klas panujących, lecz ma przekonanie, że tak zwanej „reformy socyalnej“ używa się jedynie jako środka taktycznego do zepchnięcia robotników z drogi prawdziwej.“ „Więcej niż głupiem jest (powiedziano tam w innem miejscu) jakimkolwiek oddawać się nadziejom co do zapowiedzianej z taką pompą reformy socyalnej, gdyż ona przy obecnym stanie rzeczy nigdy urzeczywistnić się nie może. Rząd, gdyby nawet najlepszą miał wolę, nie jest w stanie podciągnąć pod jedną wielką ideę państwową klas panujących, które zewsząd i bezustanku szarpane są przez walki stronnicze. Rzesza niemiecka i jej parlamentaryzm przedstawiają żywy przykład rozdarcia wewnętrznego.“

We Francyi partya socyalistyczna silniej jest rozwinięta, aniżeli gdziekolwiek indziej. Przyczynia się do tego głównie ta okoliczność, iż oprócz nagromadzenia swojskich żywiołów ruchu, znaczniejsze miasta, jak Lyon, Bordeaux, Marsylia, a zwłaszcza Paryż, są punktami zbornymi dla rewolucyonistów wszelkich narodowości. Jakiego zaś rodzaju są tendencye tych żywiołów, o tem przekonać się można już z samego odczytania tytułów czasopism socyalistycznych: *La Révolution sociale, La Commune, Ni dieu, ni maître, Emancipation, Prolétaire* i t. p. W Anglii prądy socyalistyczne zaczynają budzić się dopiero, że jednak i masy robotnicze angielskie w danym razie przed gwałtami się nie cofają, o tem przekonało (1883) wielkie bezrobocie w fabryce żelaza w Staffordshire, gdzie, jak wiadomo, do poważnych przyszło starć.

Wprawdzie potężnym zato jest ruch socyalno-rolny w Irlandyi, która wciąż nowe w tym celu otrzymuje zasiłki z Ameryki. Na zjeździe narodowym (National-convent) w Chicago (1881) pochwalono jednomyślnie żądanie parlamentu irlandzkiego, potwierdzono „No-rent-manifest“ (postanowienie niepłacenia dzierżawy), na wykonanie czego zebrano 250,000 dolarów. Prócz tego Healy i O'Connor, delegowani członkowie parlamentu i zarazem współdyrektorowie ligi ziemskiej, z podróży swojej amerykańskiej na ten sam cel przywieźli do Irlandyi 70,000 dolarów, wogóle zaś do wiosny 1882 podskarbi ligi irlandzkiej w Paryżu otrzymał z Ameryki około 600,000 dol.

W dalszym ciągu Zacher podaje jeszcze bardzo interesujące szczegóły o rozwoju socyalizmu w Szwajcaryi, Belgii, Holandyi, Danii, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Austryi, Rosyi i Ameryce północnej.

Ograniczeni szczupłością ram pisma tygodniowego, nie możemy tu szczegółów tych za nim powtórzyć, ani ich streszczać nawet. Natomiast mamy sobie za obowiązek odesłać czytelnika do dzieła samego, nadmieniając jeszcze, że autor, oprócz niezmiernie ciekawych wyjątków z rozmaitych czasopism socyalistycznych w tekście książki, w dodatku (Anhang) cytuje *in extenso* cztery programy socyalistyczne i ustawę przeciwko socyalistom z 21 października 1878 r., jak niemniej jej uzupełnienia z 31 maja 1880, 17 listopada 1881, 14 kwietnia 1883. Znacznej części zużytkowanego przezeń materyału odebrano w Niemczech prawo jawnego druku, Zacher jednak mógł go zużytkować jako „asesor rządowy,“ autor działający w intencyach księcia Bismarka i wołający w ostatecznym wniosku: *Apage satanas*—precz szatany!

A. J. Cohn.

HENRYK SIENKIEWICZ
(LITWOS).

IV.

Jeszcze po powrocie z Ameryki Sienkiewicz przez pewien czas farbował się na czerwono, jeszcze w fejletonach drwił z tych, którzy wstrzymują ociężale u nas wlokący się rydwan postępu, krzycząc: „pru!“ jak gdyby jego rumaki pędziły rozbiegane. Ale pomału demokratyzm amerykański wywietrzał z głowy, sztuczny animusz omdlał, szychy i pozory opadły a wypadkową krzyżujących się uczuć był obecny, szlachecki kierunek autora *Szkiców węglem*, najbardziej zgodny z jego upodobaniami i wygodą życia. Mówię: kierunek szlachecki, gdyż na szalę sądu klaść trzeba nietylko utwory powieściowe, w których często chłopi grają role bohaterów, ale i całą działalność dziennikarską. Sienkiewicz od lat kilku jest redaktorem *Słowa*, filii banku stańczykowskiego. Możliwe są dwa tylko przypuszczenia; albo sprzedał swe nazwisko na szyld towarzystwu akcyjnemu, nie troszcząc się i nie dbając wcale, co ono pod jego firmą wyrabia, albo też godzi się z całym tym klerykalno-szlacheckim towarem. Przyjąwszy hypotezę pierwszą, należałoby frymark potępić; wybieram więc drugą, dla godności pisarskiej niekrzywdzącą, to jest wnoszę, że Sienkiewicz wziął szpadę z rąk hr. Tarnowskiego, szkaplerz — z rąk ks. Goliana (lub Chelmickiego) a chorągiew — z rąk nieboszczyka Szujskiego — i walczy.

Nasiąkła z młodu skorupka trąciła mocniej i rozproszyła wszelkie złudzenia w dramacie *Na jedną kartę* (1881). Przedtem próbował on raz sił swoich na polu dramatycznem, ale obrazek *Czyja wina?* — będący spowiedzią dwojga kochanków, którzy rozeszli się skutkiem nieporozumienia i których rozdzieliło na zawsze małżeństwo bohaterki — mimo przyjacielskich zachwytów nad tem „małem arcydziełem“ — wielkiego powodzenia nie zapowiadał. Urodziny 5-aktowego dramatu poprzedziła prawdziwa kanonada salw pochwalnych. Nazwano go także „arcydziełem,“ które „w naszej literaturze dramatycznej zajmie jedno z najpierwszych miejsc,“ a reklama trąbiła z taką zawziętością, że zdawało się, iż dni panowania Shakespeare'a w królestwie Melpomeny są policzone. Po wystawieniu sztuki nastąpił mały odpływ chwalby, z wyjątkiem wszakże *Prawdy* (za co ona dotąd przyprawia *Słowo* o paroksyzmy gniewu, a jej redaktor, prócz ohydnej napaści, był nawet przedmiotem żakowskiego odwetu ze strony Sienkiewicza)—z wyjątkiem—mówię—*Prawdy* i *Ateneum*, żadne o ile pamiętam, pismo nie odważyło się po-

---

belskie szabasy. Spotykała tam zwykle niezliczoną moc kobiet i mężczyzn; w liczbie tych, których tam widywała ostatnimi czasy, upewnia stanowczo, że poznała młodą dziewczynę.

Tommaso stał z opuszczonemi w dół rękami i wzrokiem utkwionym w ziemię.

— I to ma być dowodem winy Gelsominy? — zawołał nareszcie, podnosząc głowę. Na traf rzucone imię, które, wraz z wielu innemi, wyrwało się zrozpaczonej starej kobiecie, w czasie męki na torturach? Posłuchajcie panie, jaki przypadek był prawdopodobnie powodem tego trafu!

I w krótkich słowach opowiedział owe spotkanie z nieszczęśliwą na Borgo Santa Croce, podczas jego ostatniej przechadzki z Gelsominą. Ku wielkiemu zdumieniu szczerego sprawozdawcy, jasne prawdopodobieństwo tego faktu widocznie nie wystarczało dla eminencyi, zdawał się nie wierzyć, że nieszczęśliwa stara, udręczona torturą, a może idąc za popędem złośliwości i zazdrości, wymieniła imię dziewczęcia, które jej się ukazało w całym blasku, na drodze boleści, jakby na urąganie. Zmieniły się role obu tych ludzi. Maso mówił śmiało i sceptycznie, jakby był możnym prałatem, Riario znowu jakby nagle powziął głęboki szacunek dla poglądów świętej inkwizycyi.

Z trudnością Tommaso zrozumieć zdołał tę nagłą zmianę w przekonaniach kardynała. Spostrzegłszy jednak wkrótce, że tu nic więcej nie zyska, zwrócił się szybko do drzwi.

— No, dokądże z takim pośpiechem? — spytał zdumiony Riario.

— Przebaczcie, miłościwy panie, ale widzę, że mi pomódz nie możecie, a ja nie mam czasu do stracenia.

— Cóż myślicie przedsięwziąść?

Tommaso, najbardziej otwarty z ludzi, stał się niedowierzającym.

— Lepiej, żebyście o tem nic nie wiedzieli, panie kardynale — odrzekł ponuro.

Jedno wam tylko wyznam: żadna łza, przez Gelsominę wylana, nie ujdzie bezkarnie jej katom, a jeśli ją na stos wprowadzą, to przy tym ogniu zapali się taka pochodnia, od której wiele pałaców legnie w perzynie.

Riario mruknął przez zęby coś niepodobnego do słów pobożnych, a zakrawającego na przekleństwo. Raz jeszcze głos jego powstrzymał oddalającego się szybko.

— Zapalną macie głowę, Tommaso — rzekł — a wysłuchaliście tylko do połowy, co wam chcę powiedzieć. Miałem sposobność przed laty, w czasach wyborów, oddać pewną usługę księdzu arcybiskupowi. Jego arcyksiążęca mość nie jest niewdzięcznym i pamięta o tem, skoro tego żądam. Trafiło się to właśnie wczoraj. W skutek mojej poręki przeprowadzono młodą dziewczynę z więzienia badań — podziemia zgarścią zgniłej słomy, o ile mi wiadomo — do miejsca przyzwoitego, gdzie się znajduje pod uczciwym nadzorem i na niczem jej nie zbywa.

— Dzięki Bogu! Ale gdzież jest? Pozwólcież mi przesłać jej wieść, że nie jest zapomnianą.

— Znajduje się niedaleko stąd. Więzienia dla takich obwinionych inkwizycyi mieszczą się w pewnej części gmachu mego pałacu.

— Gelsomina jest tu? W mieszkaniu kardynała Riario?

Tommaso mówił powoli, słowa jego szczególne miały brzmienie.

— Gelsomina, czy jak tam na imię dziewczynie, jest więźniem inkwizycyi — odrzekł zimno kardynał — i w takim charakterze, jak to już mówiłem, ze względu na szczególne wstawienie się za nią, została tu przeprowadzoną.

— Składam waszej eminencyi dzięki za to wstawienie się i za łaskawość, z jaką raczyliście przyjąć na siebie rolę dozorcy więzienia — odrzekł Tommaso z głębokim ukłonem.

Brwi kardynała ściągnęły się groźnie, a z ciemnych oczu padło gniewne spojrzenie na stojącego przed nim artystę, unikającego jego wzroku.

— Powiększacie, niewłaściwe nadajecie znaczenie usłudze, wyświadczonej przeze mnie młodej dziewczynie, przez to, że się

wstrzymać tego huraganu życzliwych powinszowań. Tymczasem — jak to już dziś wszystkim wiadomo — dramat *Na jedną kartę* był względnie do talentu autora pracą słabą. Zniedołężniały, dziecinny książę Szarogrodzki ma córkę, Stellę, która jest narzeczoną Pretwica, lubi d-ra Józwowicza, kocha hr. Drahomira, a nigdy by nie wyszła za czwartego kandydata — hr. Miliszewskiego. Ów Józwowicz, syn kowala, wychowaniec księcia, ambitny i samolubny herszt postępowców, ubiega się jawnie o mandat poselski, a skrycie o rękę Stelli. Pierwszą jednak sprawę pozostawia zapamiętałemu agitatorowi a drugiej pilnuje sam, zwłaszcza, że autor pozwala mu w domu dumnego arystokraty gospodarować bez ograniczeń. Każdy tu wchodzi, kto chce i kiedy chce, a wszyscy hrabiowie i książęta słuchają rozkazów syna kowalskiego jak wojskowej komendy. Łatwo też on ich plącze w sieć intrygi, która ma mu zapewnić zwycięstwo, ale postawiwszy podwójne zaloty *na jedną kartę* — przegrywa. Ma to być „Robespierre" polski, który wyłamuje drzwi arystokratyczne dlatego, że się przed nim zamknęły, i który popełnia podłości dlatego, że narzeczony księżniczki „wszedł mu w drogę," tak wykładając swój program: „Oto mojemu losowi, moim prawom (?) do szczęścia, mojej przyszłości (?) człowiek ten, który zginął, wszedł w drogę nagle, ślepo, fatalnie i zabrał mi *wszystko* (!). Wszedł uzbrojony w dostatki, nazwisko, stosunki i całą tę broń niezwalczoną (!), którą daje fortuna i urodzenie. Com miał przeciw niemu? z czem mogłem walczyć? co przeciwstawić jego potędze? Nic, prócz tego, co jest bronią *nowych ludzi*, tę trochę inteligencyi, zdobytej krwawą pracą i wysileniem. Broniłem się. Czem? Bronią, jaką mi dała *natura* (intrygą podszczuwającą do pojedynku). Gdy nadepczesz *robaka* (Robespierre!), nie bierz mu za złe, że się broni żądłem, bo niema czem innem się bronić... Tym wielkim celom, tym wielkim planom, tej jasnej przyszłości, nietylko mojej, ale ogólnej (!), staje w drodze *jeden panek*, jeden błędny rycerz, jeden awanturnik, którego całą zasługą, że urodził się z herbem, i ja nie mam prawa go zgnieść? I wy chcecie, bym upadł głową do jego nikczemnych nóg, bym mu *wszystko poświęcił?*" Ponieważ ów „jeden panek," to bardzo porządny i zacny obywatel, który „przyszłości ogólnej" o tylo zagrodził drogę, że pokochał księżniczkę, ponieważ Józwowicz wcale nie rozwija żadnych „wielkich planów," prócz chęci otrzymania poselstwa i pięknej magnatki, więc rzeczywiście jest to nie Robespierre, nie „bestya z żelaza," ale „robak," który z nominacyi Sienkiewicza otrzymał posadę na wodza „postępu." Szczęście, że takich wodzów autor, roszczący pretensyę do realizmu, w naszem życiu nie spotkał, jego zatem dramat nie jest odbiciem rzeczywistości, ale robotą tendencyi, która wyłazi wszystkiemi porami utworu. Założenie przedstawia się tak: arystokraci są poczciwi, szlachetni, rycerscy, lecz często niedołężni; demokraci — nieźli obszarpańcy albo mądrzy i podli. Pytaliśmy przed trzema laty i powtórzymy to dzisiaj: Gdzie Sienkiewicz u nas dostrzega gospodarstwo i rozbój demokratów w pałacach książęcych? Można gęgać, ale przynajmniej wtedy, gdy zwycięzcy pod Kapitolem. Tymczasem u nas a podobno i w Galicyi demokratyzm jest podrzutkiem, którego społeczeństwo niedawno przytuliło i wychowuje. Tak jeszcze młody, że nie miał czasu nauczyć się zbrodni, a dla zachowania życia wiele już cnót w sobie wykształcił, wiele nawet sił Sienkiewiczowi do dawnych utworów udzielił. Autor *Humoresek z teki Worszyłły, Na marne* i *Na jedną kartę* tego pierwiastku nigdy głębiej nie rozumiał i przedstawiał go sobie jako szereg szczęśliwych lub nieszczęśliwych szturmów „ludzi nowych" do szlacheckiej twierdzy dla zdobycia uroczej księżniczki, hrabianki lub przynajmniej „panny z towarzystwa." Żaden wszakże, a więc i nasz postęp o takie mury głów nie rozbijał.

Dramat *Na jedną kartę* — jak niegdyś *Szkice węglem* w kierunku przeciwnym — był punktem zwrotnym, od którego Sienkiewicz bez przymusu i w duchu swych tajonych upodobań przechylił się na stronę konserwatyzmu, gdzie go tyle czekało hołdów, uwielbień i zysków materyalnych. Pięć głosów pochwalnych — to nie pięćdziesiąt lub sto, 6 lub 12 groszy od wiersza—to nie złotówka! Skądkolwiek wszakże spłynęła sława—zawsze przykro ją tracić. Sienkiewicz, jako redaktor stańczykowskiej gazety, jako autor fejletonowych wycieczek przeciw postępowi, czuł, że na giełdzie liberalnej jego papiery spadają, więc po niefortunnej próbie wynalezienia „postępu zdrowego," usiłował odzyskać popularność lat młodych i napisał—*Bartka zwycięzcę*.

Chłop poznański zostaje wzięty do wojska pruskiego, idzie na wojnę z francuzami i tak się odznacza w bitwach zdobywaniem sztandarów, że niemcy z podziwem patrzą na „polskiego wołu." Ozdobiony orderami wraca do domu, ale już zniemczony i rozpity. A gospodarstwo poszło w ruinę — długi je obciążyły. Do kłopotów przybyła koza za pobicie nauczyciela niemca, który skrzywdził dziecko „zwycięzcy z pod Grawelotte i Sedanu." Państwo Jarzyńscy obiecali spłacić długi, ale pod warunkiem, że Bartek będzie głosował przy wyborze posła za dziedzicem. On jednak na rozkaz landratha głosuje za niemcem.

Dyletantyzm państwa Jarzyńskich w sprawach obywatelskich i opiece nad ludem z tej powiastki przypomina *Szkice węglem*; ale jeżeli Rzepa i wszyscy chłopi Sienkiewicza są tylko głupimi Samsonami, to Bartek w obu właściwościach stoi na szczycie. Czytając opisy jego męstwa, zdaje się, że to jakaś machina do niszczenia całych pułków nieprzyjacielskich i że gdyby nie on, inaczej skończyłaby się kampania z 1870 r. „Jak złapie za karabin *z cienkiego końca*, niby kłonicę, jak machnie, jak poprawi... Wrzask tylko odpowiedział mu straszny, jęk — i *dwa* czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi... Turkosi *cofnęli się w przerażeniu* (!) na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzyma... Osmalony dymem, oblany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, niepamiętny na nic, każdem uderzeniem *przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalał głowy.* Ręce jego poruszały się straszną szybkością machiny, siejącej zniszczenie." Zdobył aż... trzy sztandary. Tej nadludzkiej, Samsonowej siły szlachta w *Ogniem i mieczem* posiada jeszcze więcej, ale na chłopa to dosyć. Chłop ten nawet w Poznańskiem, gdzie istnieje przymusowe ukształcenie i równość obywatelska, jest według Sienkiewicza tak bezgranicznie głupi i pozbawiony godności, że niemcy, nazywając go „polnisches Vieh," wcale nie znieważają. Posłuchajmy.

Bartek: „A na ten przykład co to za naród te francuzy?

Wojtek: „Musi *także niemcy*, tylko jeszcze gorsze... Każdy jest chłop, jak *dwa* albo *trzy* razy nasz, a brody toci mają jak żydy."

Pomimo że niemcy go sponiewierali i osadzili w kozie, pomimo że mu wytłomaczono obowiązek głosowania za kandydatem polskim a nawet za to przyobiecywano spłacić długi, on przechodzi do niemca —

---

przyczyniłem do umieszczenia jej w dogodniejszem więzieniu—rzekł ponuro. W murach tego pałacu znajdują się ukrycia, które już nieraz do podobnego służyły celu.

— To dziwne, żem o tem dotąd nigdy jeszcze nie słyszał — wtrącił Tommaso.

— A to przeniesienie jeszcze nie znaczy — mówię to, abyście sobie przedwczesnych nie robili nadziei, gdyż zawód podwójnie by wam był bolesnym — nie zapowiada wcale szczęśliwego końca procesu dla uwięzionej.

— Co do tego wierzę wam na słowo, panie kardynale — rozśmiał się Tommaso ...ziko. A prześwietna inkwizycya nie po...yli się na ten raz tak bardzo, skoro wyda wyrok, że temu, kto z tego domu wyjdzie na światło dzienne, nie wiele się więcej należy nad stos albo stryczek. Ale pozwólcie jaśnie wielmożny panie, że was już pożegnam. Wasza eminencya zatrudniony będzie może sprawami inkwizycyi, a i przedemną też jest niejedno zajęcie niecierpiące zwłoki. Usłyszycie o mnie jeszcze, miłościwy panie.

Oddalił się z temi słowy, a Riario spoglądał za nim ze złośliwym uśmiechem. Tommaso wyszedł do obszernego przedsienia, gdy w tem uczuł na ramieniu rękę, która go powstrzymała. Piero znalazł się bok niego, mrugnął na znak porozumienia wskazując za siebie ku górnemu piętru, ...ekł:

— Mieliście z nim ostrą rozmowę, ser Tommaso? No, wam wszystko ujdzie, bo jesteście u niego w wielkich łaskach. Nie pilno wam przecie? Zajdźcie no, przyniosłem zawczasu flaszkę, przy której mieliśmy sobie skrócić czas oczekiwania. Paradne wino, a wielcy artyści, jak mówią, znać się na tem muszą. Nie będziecież łaskawi wyświadczyć ten zaszczyt staremu Piero?

Ku wielkiemu zdumieniu hultaja, Tommaso dał się wprowadzić do izby w suterenach, w której już było przygotowane wino. Maso prawie śnił; stał zamyślony na środku izby, a Piero tymczasem zbliżył się do szafy ukrytej w ścianie, otworzył ją i wydobył flaszę szczególnego kształtu.

— To specyał dla znawców — rzekł, cmoknąwszy językiem, i nalał dwie pełne szklanice. Podał jedną artyście, a sam biorąc drugą, zawołał:

— Za waszą pomyślność, messer Tommaso!

Maso przez cały czas stał w milczeniu, wreszcie bez namysłu wziął do ręki szklankę, którą mu Piero wsuwał. W tem oprzytomniał nagle, zmierzył sługę piorunującem spojrzeniem dzikiego zwierza i wysoko w górę podnosząc szklankę, cisnął ją z całą siłą wściekłości o kamienną posadzkę tak, iż na tysiące drobnych rozprysła się szczątków.

— Przeklętą niech będzie kropla, którą bym w tym domu wziął do ust! — zawołał. A ty, rajfurze, idź do piekła!

Z temi słowy, odpychając skamieniałego Piero, wyleciał na ulicę.

Łoskot ściągnął odźwiernego Jacopo i innych domowników. Ciekawie zbliżyli się do drzwi izby, na środku której stał Piero; pomiędzy nimi wcisnął się mały piesek, zwabiony zapachem rozlanego na podłodze napoju, który chciwie węszył. Był to szkaradny kundel, należący do Piera; wszyscy w domu krzywo patrzyli na złośliwe zwierzę, w szczególnych u swego pana zostające łaskach. Piero przypadkiem spojrzał na psa, w chwili gdy ten psim zwyczajem, rozlane wino lizać zaczął. Stary łotr z niezwykłą gwałtownością tak silnie psa kopnął nogą, że ten, skowycząc, znalazł się nagle w przedsionku. Wszyscy ludzie powychodzili także z pośpiechem, a Piero bez ceremonii zatrzasnął im drzwi przed nosem i słychać było, jak się w swej izbie zaryglował...

Przez całą dobę stara, pogrążona w niemym smutku, siedziała na Cerco degli Albizzi; nikt prócz Masa nie przerywał jej samotności. Nie położyła się wieczorem i przez wszystkie godziny nocy przesuwała w palcach ziarna różańca, mrucząc pacierze, a jeśli zmieniała położenie, to chyba po to, aby głowę zwrócić z trudnością do obrazu Madonny, wiszącego nad łóżkiem, jakby

dlaczego. Bo landrath tak do niego przemówił:

„Du polnisches Vieh! Spróbuj tylko głosować za panem Jarzyńskim, spróbuj!“

Tyle wystarczyło dla owego Bartka, który kolbą rozbił turkosów, zdobył trzy sztandazy, który nauczyciela niemca zanurzył głową w beczce z pomyjami!

Przypatrzmy się jego uczuciom.

Stojąc na warcie, słyszy rozmowę dwu skazanych na rozstrzelanie jeńców—polaków. To go wzrusza. „Chwila jeszcze, a krzyknie: *„Paniczu, toć ja chłop!...“* Ale nadeszła zmiana straży. O wojnie tak opowiada: „Jakeśma palili jaką wieś, to ony ręce składały i zaraz krzyczały: *pitié! pitié!* to niby znaczy, że dadzą picie, że im co ino dać spokój. Aleśma nie zważali.“ Wiadomo, jak obfitym strumieniem wylewają się czułości w listach między rodziną chłopską a wziętymi z niej żołnierzami na wojnie. Sienkiewicz, który w pogoni za realizmem, podrabianym karykaturą, chętnie osadza w chłopie zwierzę, każe pisać Bartkowi do żony: „Pilnuj chałupy i Franka, bo niech byś nie pilnowała, to bym ci chyba giry poprzetrącał.“ A ona na to: „Ażeby cię Bóg pokarał. Tyś sam kiep poganinie, kiedy naród katolicki na wspólkę z kasztanami mordujesz.“ Słowem „nawymyślała mu, co wlazło“ — „uściskawszy najukochańszego.“

Tak myśli i czuje wieśniak poznański, człowiek cywilizowany i wyborca!

Ponieważ utwór ten jest wysoce obelżywym dla niemców, nazwaliśmy kiedyś przygodnie Sienkiewicza polskim Sacher Masochem; dodać winienem, że i niemiecki Sacher Masoch nie maluje okropniej chłopa z *Halb-Asien.*

Bartek zwycięzca, nie powróciwszy autorowi kredytu demokratycznego, zbudził wyraźne niezadowolenie w tych kołach, których łaskawymi uśmiechami *Słowo* żyje. Trzeba więc było dać pokój tej strunie i uderzyć w inną, do której palce dawno się rwały i trzeba było wyśpiewać chwałę szlachty. Jakoż w tem przedsięwzięciu talent Sienkiewicza objawił się najsilniej, gdy nimbusy z Wojtków i Bartków przeniósł na Skrzetuskich i Wołodyjowskich i gdy uciekłszy od teraźniejszości, która źle hymnom szlacheckim wtórować mogła, cofnął się w przeszłość.

A. Ś.

Z GALICYI.

Tarnów, 20 lipca.

(Zjazd galicyjskiego Towarzystwa pedagogicznego).

Przez trzy dni, od 17 do 19 b. m., członkowie galicyjskiego Towarzystwa pedagogicznego odbywali tutaj swoje narady. Jak wiecie ze sprawozdań dawniejszych, Towarzystwo nasze urządza co roku zjazd, czyli walne zebranie, za każdym razem w innem mieście. W tym roku Tarnów zaprosił w swoje mury gości, z równą uprzejmością przez inne grody naszego kraju zawsze witanych. Przybyło przeszło 400 uczestników, więcej niż zeszłego roku, a Tarnów postarał się, aby ich godnie przyjąć. Bezpośrednio po przybyciu podejmował ich z wierzynkowską gościnnością ks. Sanguszko w Gumniskach pod Tarnowem. Rozjaśniło się też niejedno oblicze, zbiedzone całoroczną pracą i niedostatkiem.

Działo się to 16 b. m. Na drugi dzień zjazd został otwarty. Z mów powitalnych warto podnieść przemówienie burmistrza miasta, p. Rogoyskiego, na temat: „Kto ma szkołę, ten ma przyszłość,“ tudzież dr. Ringelheima, który imieniem ludności izraelskiej zaznaczył, że współwyznawcy jego zbierają już obfite plony usiłowań Towarzystwa pedagogicznego. Jemu to bowiem przypisać należy, że chedery znikają coraz bardziej, a szkoły publiczne zapełniają się dziatwą wyznania mojżeszowego. Na wszystkie te przemowy odpowiedział prezes Towarzystwa, Sawczyński, poczem powitał serdecznie dwóch delegatów czeskich, z których jeden reprezentował nauczycieli czeskich, drugi Związek czeskich towarzystw pedagogicznych.

Rozdano członkom sprawozdanie z czynności zarządu głównego Towarzystwa w czasie od 10 lipca 1884. Działalność jedynego u nas w swoim rodzaju stowarzyszenia śledzimy tu zawsze z wielkim interesem, sądzę też, że ważniejsze jego objawy niemniej i was zająć powinny. Wystąpić wypadło Zarządowi zeszłego roku przedewszystkiem w obronie stanu nauczycielskiego, fatalnie zagrożonego rozporządzeniem Rady szkolnej krajowej, znoszącem naraz wszystkie klasy równorzędne (paralelki) w szkołach ludowych i uwalniającem z posad wszystkich zastępców nauczycieli. Przeszło 200 egzaminowanych nauczycieli i nauczycielek znalazło się nagle bez kawałka chleba. Zarząd główny zajął się energicznie losem pozbawionych sposobu do życia pedagogów i z poparciem namiestnika postarał się o cofnięcie rozporządzenia Rady szkolnej. Dopomogła tu wiele prasa.

Niedługo potem, we wrześniu, zwołany został sejm, a Zarząd złożył nowy dowód troskliwości o rozwój szkolnictwa krajowego. Memoryał jego, dotyczący zmiany ustawodawstwa szkolnego, natrafił wprawdzie na nieprzychylne usposobienie sejmu, ale drugi, obszerniejszy jeszcze odniósł przynajmniej ten skutek, że wniosek Wydziału krajowego, żądający tworzenia t. z. szkół posiłkowych, został przez sejm odrzucony. W memoryale swym Zarząd wyraził zupełnie uzasadnioną obawę, że projektowany przez Wydział krajowy sposób pozyskania nauczycieli do czytania i pisania, osób do uczenia niekwalifikowanych, zachwiać może w ludzie wiejskim zaufanie do szkoły, stworzyć z drugiej strony balast z 2,500 ludzi o poziomie inteligencyi niskim, a zajmujących tak ważne w społeczeństwie stanowiska. Zarząd projektował natomiast uskutecznienie sprawiedliwszego rozkładu funduszów szkolnych na pojedyncze gminy, zapewnienie znaczniejszego zasiłku na zakładanie szkół w tych gminach, które ich jeszcze nie mają, wyjednanie u rządu wystarczającej liczby inspektorów krajowych i okręgowych, ścisłą kontrolę (oj, to, to!) w administracyi kapitałami szkolnymi okręgowymi, jasne określenie stanowiska wobec władz wykonawczych (rządowych) dla uniknięcia różnic w zapatrywaniach, które niewątpliwie szkodzą dzisiaj sprawie rozwoju szkolnictwa, zapewnienie wreszcie nauczycieli, że kraj, nie mogąc na razie poprawić ich doli, umie przynajmniej ocenić ich rzetelne zasługi.

Sprawa podwyższenia płac nauczycielskich, poparta przez Radę szkolną, upadła w zeszłym roku; Zarząd jednak podniesie ją ponownie na najbliższej sesyi sejmowej. Jak wogóle pracuje on nad rozwojem szkolnictwa w kraju, niech posłużą za dowód *Luźne uwagi pro memoria Wysokiego Sejmu*, wydawane podczas zeszłorocznej sesyi przy *Szkole*, organie Towarzystwa. Rozbierano w nich wszystkie sprawy szkolne, będące na porządku dziennym obrad, i publikacyę tę rozsyłano wszystkim posłom.

W ciągu ubiegłego roku wyłoniło się z Towarzystwa pedagogicznego nowe ciało

---

chciała dać poznać obrazowi, że do niego odnosiły się jej modlitwy.

Dopiero drugiego poranka otwarły się drzwi nareszcie i wszedł Maso.

— Przychodzę powiedzieć wam, gdzie się Gelsomina znajduje — rzekł, nie patrząc na starą.

Przyglądała mu się z pewnem zdumieniem: nawet jej przygasłym oczom nie uszła wielka zmiana, jaka w nim zaszła od wczoraj.

— Życie jej bezpieczne; mnie to zawdzięcza — przytem z gorzkim uśmiechem pięść przycisnął do skroni. O jeszcze mi może niejedno zawdzięczać będzie.

Stara zapytała go, co te słowa znaczyć miały, a on mówił dalej:

— Pamiętacie, że wspominałem o wielkim panu, który u mnie obstalował dzieło sztuki a przytem okazał się bardzo szczodrym. Do niego się udałem, aby mi dopomógł oswobodzić Gelsominę. Myślałem, że byle wpływ jego wyjednał przystęp do arcybiskupa przyjaciołom Gelsominy, będzie dosyć łatwo zbić te szalone obwinienia.

Chodził po izbie w tę i ową stronę, zatrzymując się niekiedy, a mówił więcej sam do siebie, niż do starej.

— Chętnie się też skłonił do mej prośby, przez życzliwość dla mnie. Co znaczy dla niego, który w nic nie wierzy i niczego się nie lęka, proces czarownicy? Komedya, nic więcej.

Tu umilkł, zdawało się, że zapomniał zupełnie o tej, która go słuchała, aż niecierpliwie na nowo pytać go zaczęła. Wtedy dalej mówił:

— O, sprawa naturalny bieg przyjęła: jego eminencya ujrzał dziewczynę i sam się podjął dalszego prowadzenia procesu. Teraz mogę się z wami założyć, że Gelsomina ma jedwabne łoże, bo kardynał Riario to człowiek, który gościom swoim nie szczędzi wygody.

— Riario! — powtórzyła stara drżącym głosem, zrywając się nagle z miejsca. Riario? mówisz? Ślepy głupcze! Kardynał Riario? Jemu oddałeś w ręce dziewczynę?

Wybuchnęła obłąkanym śmiechem, po którym nastąpił potok przekleństw i dzikich wyrzekań. Obrzuciła niemi młodego człowieka z taką namiętną gwałtownością, zarazem śmieszną i przerażającą, jakiej się po niej spodziewać nie było można. Ale zamilkła równie nagle, jak zaczęła, i z nadzwyczajnym pośpiechem krzątając się po izbie, coś ciągle przytem mruczała sama do siebie:

— Żeby jeszcze nie było za późno!

Wydobyła swoją zakrzywioną laskę i nie zważając bynajmniej na Tommasa, o ile tylko stare jej nogi podążyć mogły, wyszła z mieszkania.

Maso pozostał zdumiony, starając się pojąć dziwną zagadkę. Jedna myśl nareszcie przyszła mu do głowy, jako jedynie prawdopodobna, że Riario musiał już poprzednio zwrócić uwagę na Gelsominę i zaniepokoić obie kobiety. Na tę myśl zgrzytnął zębami i z jeszcze mocniejsze powziął postanowienie wykonania tego, co sobie ułożył. Pośpieszył więc zabrać się do dzieła.

Wśród młodzieży, oddającej się sztuce, wybitne zajmował on stanowisko. Kochany i szanowany, nieraz był wybieranym za przewodnika w różnych wypadkach. Szczególniej pod jego kierunkiem stawali inni, kiedy szło o wyrządzenie jakiej psoty starszym, o dokonanie jakiej śmiałej sprawki i dokuczenie pedantycznym władzom. Na tem przodownictwie, które mu się bez zabiegów z jego strony dostawało, plan swój opierał; miał prawie cały dzień przed sobą na przygotowania.

Najprzód pośpieszył do najlepszego swego przyjaciela, młodego złotnika Sandro Vasarelli. Zwierzył mu się po części z tego, co było koniecznem do wykonania planu, a następnie dwóch chłopców z pracowni Sandra posłano do innych przyjaciół, aby się tego samego dnia, na pół godziny przed Ave Maria, stawili wszyscy w pracowni Tommasa Lupi, przy bramie San Gallo.

W oznaczonym czasie zebrało się tam około dziesięciu młodych ludzi. (D. c. n.)

najprzód „Kółko,“ następnie „Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych.“ W myśl uchwały zeszłorocznego zjazdu miało ono być początkowo tylko sekcyą swojej macierzy, ponieważ jednak gabinet hr. Taaffego dostrzegł w tem niebezpieczeństwo dla całości monarchii austryackiej — „Kółko,“ jako sekcya nie przyszło do skutku, lecz zorganizowało się w osobne towarzystwo, mające swoje filie, czyli znowu „Kółka“ w miastach, gdzie istnieją gimnazya, szkoły realne albo seminarya nauczycielskie. Nowe Towarzystwo ukonstytuowało się d. 9 kwietnia b. r. i ma siedzibę swoją we Lwowie. Przewodniczy mu profesor wszechnicy lwowskiej, dr. Bronisław Radziszewski. Mamy więc teraz dwa Towarzystwa pedagogiczne, które jednak zachowują pomiędzy sobą najprzyjaźniejsze stosunki i pracują wspólnie nad podniesieniem oświaty w kraju. Członkowie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych należą do pedagogicznego i od przyszłego roku począwszy, odbywać będą wspólne zjazdy.

Z inicyatywy Towarzystwa powstały w zeszłym roku dwie wyższe szkoły żeńskie: w Jarosławiu i Sanoku. Sejm i instytucye miejscowe dają im zapomogi, a członkowie Towarzystwa pracę swą i moralne poparcie. Dwa te zakłady są prawdziwem dobrodziejstwem dla naszego kraju, ubogiego w podobne instytucye. Towarzystwo pedagogiczne zakłada także szkoły przemysłowe i opiekuje się owemi z całą gorliwością. Do istniejących sześciu przybyła w ubiegłym roku jeszcze jedna, w Stanisławowie. Zakłady te zaopatruje Zarząd główny w potrzebne podręczniki naukowe i udziela im zasiłków pieniężnych.

Stosownie do uchwały zeszłorocznego Zjazdu zajął się Zarząd główny także koloniami wakacyjnemi dla dzieci. W zeszłym roku wysłano na wieś, w wysokie Tatry, do Żabiego pod Czarnohorą, 31 uczniów szkół lwowskich — w tym roku wysyłka dziatwy przedsięwzięta została na znacznie większą skalę, urządzono nawet osobną kolonię dla dziewcząt. Sprawy kolonii wakacyjnej nie zamyka zresztą Zarząd w obrębie rogatek stolicy kraju, ale błogosławioną instytucyę tę stara się rozkrzewić także i w innych większych miastach.

Wydawnictwa Towarzystwa pedagogicznego wzrastają ciągle w liczbę. Oprócz dawniejszych 140 publikacyj wydano w roku zeszłym 141. Bąkowski J. *Dwadzieścia lekcyj z historyi naturalnej*. 142. Dr. Petelenz *Rozbiór krytyczny Gramatyki dr. J. Molina*. 143. Dr. Tad. Żuliński *O hygienicznem znaczeniu śpiewu*. 144. Dr. Stan. Stodolak *Wychowanie fizyczne wobec reformy gimnazyów*. 145. Szczęsny Parasiewicz *Bibliografia pedagogiczna polska*. 146. Bol. Baranowski *O koloniach wakacyjnych*. 147. Dr. Benoni i Ł. Tatomir *Krótki rys geografii* (wyd. 2). 148. Biblioteka dla młodzieży t. XV. Rogala *Tadeusz Kościuszko*. 149. Bibl. dla młodz. t. XV. (rusk). Iwan z Berłoh *Zołotyj krestyk*. 150. Bibliot. dla uczniów szkół przemysłowych t. IV. J. Sobieski *Najważniejsze wiadomości z fizyki*. 151. Bock *Budowa, życie i pielęgnowanie ciała ludzkiego*. 152. Hamböck *Modele do uszlachetnienia owoców*. 153. Jamrógiewicz *Geometrya poglądowa dla niższych klas gimnazyalnych i realnych*. 154. Łomnicki *Mineralogia i geologia dla wyższych klas* (wyd. 2). 155. Dr. Samolewicz *Przykłady łacińskie dla I klasy gimn*. 156. Soleski Józef. *Nauka fizyki* (dla niższych klas gimnazyów i szkół realnych). 157. T. Żuliński *Roboty kobiece szkolne ze względu hygieniczno-pedagogicznego*. 158. Czasopismo *Szkoła*, r. 1883. 159. *Sprawozdanie z czynności Towarzystwa pedag. r. 1883—4*. Przybyło zatem w ubiegłym roku 19 nowych publikacyj. Wspomnieć jeszcze należy, że wydawnictwo *Szkoły* rozwija się bardzo pomyślnie. Rada szkolna krajowa orzekła, że obowiązkiem jest każdej szkoły prenumerować jedno bodaj czasopismo pedagogiczne, Zarząd główny zaś polecił administracyi swego organu, aby bez względu na zwiększające się koszta zmienił format czcionek na mniejszy i w miarę potrzeby wydawał nadzwyczajne dodatki.

Wspaniały dar otrzymało Towarzystwo w ubiegłym roku. Świeżo mianowany członkiem Rady szkolnej krajowej dr. Stanisław hr. Badeni zawiadomił Zarząd, że dopóki będzie członkiem Rady, całą swoją pensyę przeznacza corocznie do jego dyspozycyi. Zapomoga to nie mała, bo wynosząca rocznie 1,200 złr. Zarząd postanowił utworzyć z daru tego osobny fundusz im. Stan. Badeniego, jako kapitał nienaruszalny, corocznie o 1,200 złr. wzrastający. Odsetki obracane będą na zapomogi dla nauczycieli ludowych, tudzież ich wdów i sierót.

Liczyło Towarzystwo w roku ubiegłym 40 oddziałów z 85 „Kółkami“ pedagogicznemi. Członków było około 2,700.

Tyle o działalności Zarządu. Podniosłem tu tylko objawy co ważniejsze, sądzę przecież, że mam prawo wskazać z dumą bodaj tę jedną instytucyę. Cieszy mnie to tem więcej, że nie mamy się zresztą chełpić czem tak daleko — o, nie mamy zgoła!... Niechżeż to uznanie będzie zarazem odpowiedzią na zarzut, czyniony korespondentom galicyjskim pism zagranicznych, że tendencyjnie czy nie tendencyjnie stosunki tutejsze przedstawiają w barwach znacznie ciemniejszych, niż na to zasługują.

Przechodzę do zdania sprawy z samego Zjazdu. Właściwą jego pracę rozpoczął p. Kawalec, nauczyciel z Kołomyi, referatem „O mianowaniu, płacach i korzyściach służbowych nauczycieli.“ Był to projekt zmiany ustawy szkolnej a wywołało go zeszłoroczne zachowanie się sejmu, które rzuciło nie mały postrach na sfery nauczycielskie. Wyrazem rodzących się obaw były artykuły w kołomyjskim *Głosie nauczycielskim* a owocem myśl zwołania wiecu nauczycielskiego, którego zadania przekazał jednak zawiązany już komitet wiecowy walnemu zgromadzeniu czyli zjazdowi Towarzystwa pedagogicznego. Długa była dyskusya nad tym przedmiotem — chodziłożbo przecie o rzecz najważniejszą, o *nervum rerum* wszelakiego istnienia, a więc i pedagogów. Na wniosek p. Zimmermanna ze Lwowa zgodzono się wreszcie, aby w petycyi do sejmu domagać się ustanowienia płacy w szkołach ludowych na 900, 700, 600, i 450 złr., w szkołach zaś wydziałowych na 1,100, 950 i 800 złr. Uchwalono dalej, aby dodatki pięcioletnie (kwinkwennia) wynosiły 10% każdorazowej płacy i aby nauczycielom prowizorycznym, którzy po uzyskaniu kwalifikacyi pięć lat służą, wliczano ten czas przy normowaniu dodatków pięcioletnich. Wynagrodzenie dla kierowników szkół ludowych oznaczono na 50, 100 i 150 złr., w wydziałowych na 200 złr. Zastępcy nauczycieli z kwalifikacyą dostawać mają 400 złr., a we Lwowie i w Krakowie, tudzież w szkołach wydziałowych 600 złr. Nauczyciel prowizoryczny po pięciu latach służby pobierać ma pensyę rzeczywistego. Wynagrodzenie za mieszkanie ustanowiono na 300, 200, 150 i 100 złr. Płaca ma być pobierana z góry, bez względu na kategoryę, do której nauczyciel należy. Uchwalono dalej domagać się skrócenia lat służby ze 40 na 30. Wdowa ma otrzymywać połowę płacy zmarłego męża, wdowa z dziećmi trzy czwarte, w obu zaś wypadkach przez pierwszy kwartał całą pensyę.

Komitet wiecowy domagał się także, aby nauczycielkom nie powierzano posad przy szkołach męskich pod żadnym warunkiem, ani też kierownictwa w szkołach żeńskich, począwszy od 5-klasowych. Przeciwko wnioskowi wypowiedziała ciętą mowę p. Ścisławska, nauczycielka z Tarnowa a poparli ją dzielnie pp. Starzecki i Benoni, poczem wnioskodawca ustąpił dobrowolnie.

Rozprawy i uchwały w powyższych sprawach zajęły większą połowę czasu i przeciągnęły się aż na trzecie t. j. ostatnie posiedzenie Zjazdu. Rezolucya jego ma na razie znaczenie tylko teoretyczne, ale przy dobrych chęciach, zabiegach usilnych, a przedewszystkiem należytem obrobieniu panów reprezentantów kraju uda się może i praktyczną wyciosać z niej podstawę nieustalonego bytu naszych pedagogów.

Zgromadzenie uchwaliło następnie jednomyślnie, aby nauczyciele nietylko należeli do Kółek rolniczych, ale także starali się o ich zakładanie, poczem przystąpiono do wyboru Zarządu. Jednomyślnie wybrani: prezesem Sawczyński, wiceprezesem dr. Gerstmann — obaj ze Lwowa. Inne uchwały Zjazdu, jako mniej ważne i szerszego interesu nie budzące, pomijam.

Bawili się też nieźle pedagogowie i pedagog... no, nauczycielki nasze w antraktach pomiędzy jednem a drugiem posiedzeniem. O przyjęciu u ks. Sanguszki już wspomniałem. Na drugi dzień urządzono na cześć gości festyn w ogrodzie miejskim. To było we czwartek. W piątek bawiono się znów cudownie na wycieczce w Okocimiu, gdzie wyrabiają najlepsze piwo w kraju, nie ubliżając księciu Sapieże w Krasiczynie. Właściciel fabryki, p. Goetz, znając różnicę pomiędzy żołądkiem męskim a żeńskim, wystawił dwa bufety i wytoczyć kazał trzydzieści wiader najlepszego piwa. Przyszedłszy wreszcie do przekonania, że kopytkowe winno być podwyższone, urządziła reprezentacya miasta Tarnowa w sobotę ucztę na przeszło 400 osób. Toastów było dziesięć, z tych jeden „na cześć przesławnego narodu czeskiego“ — inny, wniesiony przez p. Mrazika, delegata z Czech: *Czesko-polské wzajemnosti — na zdar!*

Rewera.

BADANIA LINGWISTYCZNE.

Biskupski Leon. **Beiträge zur slavischen Dialectologie.** 1) Die Sprache der Brodnitzer Kaschuben im Kreise Karthaus (West-Preussen). 1 Heft. Die Lautlehre. Abtheilung A. Lipsk 1883.

Badanie mowy ojczystej w dziejowym rozwoju przedstawia tę niedogodność, iż pomniki, przepisywane niejednokrotnie przez nieumiejętnych kopistów, albo też nieświadomych języka cudzoziemców, ukrywały właściwy stosunek długos i samogłosek do przycisku, co zazwyczaj przez skażenie dźwięków i mieszanie jednego z drugim dziać się zwykło. Stąd liczne błędy co do tak zwanej miarowości, popełniane przez gramatykarzów naszych od czasów Kopczyńskiego, tudzież niedokładne mniemania późniejszych nawet lingwistów, chociaż przyznać należy, że A. W. Maciejowski, Małecki i ks. Franciszek Malinowski pierwsze lubo niepewne jeszcze w sprawie tej rzucili pomysły.

Niezadawalające więc takiego badania wyniki stały się powodem, że młodsze pokolenie, zrywając z dotychczasową metodą, jęło się pracy czysto spostrzegawczej, polegającej na śledzeniu mowy żywej, zachowanej w ustach ludu, która mimo wpływów obcych stanowi właśnie rdzeń dyalektologii prowincyonalnej. Obok p. Lucyana Malinowskiego, autora wybornej rozprawy o narzeczu opolskiem, przedniejsze już dziś miejsce zajmuje p. Leon Biskupski, nauczyciel gimnazyum niegdyś w Tczewie (Cirschau) a obecnie w Konic na Kaszubach. Znajomość dyalektologii germańskiej nadaje pracy jego tę wartość nad innemi, iż pozwala mu wykazać stosunek wzajemny, tudzież wpływy obu gałęzi, to jest słowiańskiej do germańskiej i odwrotnie.

Dyalektologię kaszubską w ustach 180,000 krajowców dzieli autor na północną i połu-

dniową, z których każda znowu rozkłada się na podrzędne gwary. Treścią pracy obecnej jest głosownia narzecza z okolic górnej i dolnej Brodnicy, tudzież Przewozu (Lindenhoff), Moxen, Schnurken, Bork, Grzebienice, Brodnickiej Huty i Remboszewa.

Nietylko w układzie dźwięków, lecz i w akcencie różni się dyalektologia północna od południowej. Do osobliwości należą dyftongi: *oe*, *ue*, *uo*, *au*, tudzież przydechowe *u* (uoko zam. oko); zachowały się również w zupełności samogłoski długie, ściśnione i nosowe *o*, *u*, *i*, które autor na wzór *ą*, *ę* ogonkami u spodu opatrzył. Zamiast polskiego *ć* zwykle miękkie *tj*. Formy liczby podwójnej używają się w znaczeniu liczby mnogiej. W posłowiu, czyli w ostatniej zgłosce danego wyrazu, znika nosowość samogłoski (np. *sa* zam. się, gorzał*ka* zam. gorzałkę, ji*da* zam. idę). Prawo wymiany nosówek zapomocą *y* w starosłowiańskim sprawdza się w kaszubszczyznie; np. *cygnonc*=*ciągnąć*. Odpowiednio polskiemu *u* często *y* (na morzy=na morzu). Dwugłoska etymologiczna *je* zam. *ja* (m*ie*ra=miara, cierp*ie*ł=cierpiał)—jest dowodem pierwobytności tego dźwięku, zastępującego w pomnikach głagolicznych późniejsze cierkiewno-kiryliczne *ja*. Grupy *olo*, *ere*, zwane przez gramatyków rosyjskich *połnogłasijem*, istnieją w niektórych szczątkach i w kaszubszczyznie. P. Baudouin de Courtenay przypuszcza nawet „połnogłasije" i w staropolskim, przywodząc formy *Wołodzisław* = Włodzisław, *czerekwiach*.

Zastanówmy się nieco nad niektórymi spostrzeżeniami autora, według którego formy *beveryja*, *breveryja* (niem. Buberei), a nawet *me'odyja*, *komisyja* itp. utworzyły się pod wpływem dolno-niemieckiego *ij* (dolnoniem. Litenij, niem. Litanei), lubo formy te nietylko w kaszubskiem, lecz i innych dyalektach polskich od wieków istnieją. W formach *dej* (daj), nie *gniewej se* (nie gniewaj się) itp. autor na zasadzie, że kaszubowie w wyrazach *kraj*, *orataj* nie zmieniają przed jotą samogł. *a* na *e*, przeczy, aby tutaj samogł. *a* upodobniła się do następującej joty. co lingwiści czescy przegłoszeniem (Umlaut) nazywają. Według niego dwojaką jest tutaj jota, bo jedna równa się starosł. *j* z jerem twardym, druga zaś z sam. i, będącej cechą sposobu rozkazującego (dej, witej). Nic jednak autor nie wspomina, dlaczego przegłoszenie w języku czeskim bardziej w nowszej, niż dawniejszej zapanowało głosowni. Jeżeli tak jest, to przegłoszenie samogłosek jest zjawiskiem zgoła późniejszem w formacyi dźwięków słowiańskich. Dlatego też niektóre wyrazy, będące w ciągłem użyciu, jak: *kraj*, *zwyczaj*, *orataj*, zachowując pierwotną formę, nie uległy prawu widocznie nowszemu. Gdzieżbyśmy w umyśle ludu przypuszczali taką subtelność lingwistyczną, odróżniającą rodowód podwójnej według p. B. joty, co żadną miarą zachodzić nie może.

Przejście *i* a raczej *y* przed *r l* na *e* (ser= syr, sierota=śirota) autor objaśnia wpływem dolnoniemieckiego.

Jakaż więc będzie przyczyna podobnego zjawiska w formach polskich w. XVI? W listach bowiem króla Zygmunta Augusta do Radziwiłła czarnego czytamy: *beł*, *beła*, *beło*, uderz*eł*, ruszeli itp. *). Trudno przypuścić, aby dyalekt ludowy białoruski tak daleco mógł wpłynąć na charakter dźwiękowy tych listów, jeżeli litewsko-ruski, będący językiem urzędowym na Litwie i zapewne znany Zygmuntowi, niepodobnego nie przedstawia.

Nie ulega wątpliwości, że samogłoski długie, jak to nawet widzimy w słowieńskiem czyli korutańskiem narzeczu łączą się z następującą jotą (dzisiaj zam. dzisiâ); jednak w przywiedzionej przez autora formie *wiejski* nie ma tej długości; bo *ie* równa się tutaj starosłowiańskiemu jerj miękkiemu (wjś), a jota jest wyręczeniem *s* (wieśski); stąd w dzisiejszej polszczyznie nie ściśniamy *ie* przed jotą w wyrazie *wiejski* zam. *wieśski*.

Z materyału, zebranego w pracy p. B., przekonywamy się o wartości lingwistycznej utworów literackich pp. Cenowy i Derdowskiego, piszących w narzeczu, do którego kaszubowie albo nieradzi, albo wcale się nie przyznają. Chociaż Mrongowius, Prajs, Hilferding, dr. Cenowa i Baudouin de Courtenay przemawiają za połabskim kaszubszczyzny początkiem, jednak p. Biskupski uważa mowę tę za odłam dawnej polszczyzny; albowiem i słowianie połabscy, zdaniem autora, należeli do plemienia lechicko-polskiego.

Justyn Feliks Gajsler.

*) Lachowicz S. A. *Pamiętniki do dziejów Polski*, Wilno 1842.

LIBERUM VETO.

Dwa życzenia i dwie ofiary. — Bezimienny kandydat na męczennika i jego warunki. — Gotowość do zastępstwa. — Dr. Ochorowicz i Towarzystwo lekarskie.— Potrzeba rozdziału napomnienia. — Okólnik Urzędu lekarskiego. — Bezpłodne usługi. — Epidemijka i futro. — Na pomoc. — Występ sił nowych i radość p. Minkowieckiego. — Aforyzmy pobożne, niepokaźne i cenne. — Strofa Konopnickiej. — Akademia Mickiewicza i unosząca się nad nią blaga.

Prasie naszej i życiu życzę, ażebyśmy jak najprędzej nie potrzebowali zajmować się cholerą i powodzią. ażeby pierwsza była przedmiotem badań tylko lekarzy a druga inżenierów. Życzenie to oprócz dbałości o zdrowie ogólne ma jeszcze na celu dobro pism, zakażonych bakteryami i zalanych wodą, oraz interes jednostek, padających ofiarą klęski oświecania ciemnej ludzkości. Z liczby tych ofiar najgoretsze współczucie zbudziły we mnie dwie: jedna niewiadomego nazwiska i dr. Ochorowicz. Obu należy się choć krótka od nas kondolencya.

Jakiś bohater oświadcza w *Kuryerze warszawkim*, że gotów jest poddać się zaszczepieniu cholery, żąda tylko opłaty kosztów podróży do Francyi oraz drobnej przyjemności, ażeby „inne pisma powtórzyły" tę wiadomość. Podziwiając nadzwyczajną odwagę, nadmienię, że gdyby ona w stanowczej chwili opuściła szan. bohatera, mogę go zastąpić. Uczynię to zaś bez żadnego wysiłku i z bardzo prostej rachuby. Cholery nikt dotąd nie szczepił i szczepić nie zechce, przejechałbym się więc darmo do Francyi po to jedynie, ażeby mi powiedziano: nie możemy tu zrobić z pana żadnego użytku — coby mi wcale nie przeszkadzało wstąpić do Paryża i nieco się zabawić. Dla pozyskania takiego stypendyum zrzekłbym się drugiego warunku — powtarzania wiadomości o mojej propozycyi „przez inne pisma." Bo nawet nie pojmuję, wyłączając zamiar urzędzenia farsy, na co by to przyszłemu męczennikowi przydać się mogło? Jeżeli Pasteur, Koch i inni badacze epidemii nie czytują *Kuryera warszawskiego*, to z pewnością nie czytują żadnego innego pisma polskiego, dla nich więc rozpowszechnienie owej wiadomości jest niepotrzebnem. Ogół zaś chyba ani wątpi, że znajdzie w swem łonie dosyć ludzi, którzyby za jego pieniądze pojechali do Francyi, nawet w czasie panowania lekkiej cholery. Niewdzięczny to wszakże ogół: nie dał ani grosza na dobrowolne męczeństwo, które skutkiem tego nawet gladyadora nauki nic kosztować nie będzie.

Drugą ofiarą cholery, zasługującą na szczere współubolewanie jest dr. Ochorowicz. Jak niedawno wspomniałem, uniwersytet lwowski, pragnący obsadzać swe katedry ptakami niebieskimi i liliami polnemi, które sieją i orzą a nic nie dostają, zmusił go do uprawiania magii, hypnotyzmu, spirytyzmu, wynalazków technicznych i popularnej medycyny — słowem do wszelkiego rodzaju przedstawień i tajemniczych widowisk. W korespondencyi do tegoż *Kuryera* dr. O. położył na kolanie Pasteura, Kocha, oraz innych psotników nauki i dał im w skórę z napomnieniem, ażeby nie pletli głupstw, które nie mają sensu. Chociaż synowie Eskulapa zawsze z wielką wzgardą patrzą na laików, wciskających się do ich świątyni, nie sądziłem jednak nigdy, ażeby ciało tak od polemicznego boju odsunięte, jak Towarzystwo Lekarskie, uczuło dreszcz zgrozy na herezye docenta lwowskiego i wystawiło przeciw niemu swoją armatę. W przesłanej do pism odezwie oświadcza ono: „Poglądy i rozumowania p. Ochorowicza, dotyczące istoty, powstawania i szerzenia się cholery, pozbawione są wszelkiej naukowej podstawy; po części są fałszywe, po części oparte na błędnem wnioskowaniu. Opinia o bezużyteczności, a nawet szkodliwości środków dezinfekcyjnych, dowodzi zupełnej nieznajomości przedmiotu." Oświadczenie to zrobiono „w imię prawdy i dobra społecznego." Ponieważ „prawda" w cholerze leży jeszcze bardzo głęboko i nikt jej nie wydobył, więc ją pomijam. Ważniejszem jest „dobro społeczne." Jeżeli p. O. za pośrednictwem najpopularniejszego organu szerzy błędy, które osłabiają ufność ogółu do środków ratunkowych, może rozgniewać nawet dwa tak gołębie serca, jak prezes i sekretarz, podpisani na odezwie. Ale co zrobić z następującym faktem. *Kuryer Codzienny* z 9 lipca pisze o posiedzeniu Towarzystwa: „Niektórzy *z lekarzy*, uznając w zasadzie ważność podniesionej kwestyi, oświadczyli się jednakże *przeciw* wprowadzeniu *wyjątkowych środków ostrożności*, zalecając tylko obostrzenie już istniejących i ścisłe takowych wykonywanie. Lekarze ci poglądy swoje motywowali twierdzeniem, że cholera w Tulonie, nierozszerzająca się dotąd na dalsze okolice Francyi, jest charakteru *miejscowego* i nie zagraża ani Europie, *ani krajowi naszemu*." Mniej więcej to samo utrzymywał dr. Ochorowicz, jeśli więc on zasłużył na publiczną naganę, to chyba wolno mi się nią podzielić z lekarzami, obowiązanymi do „znajomości przedmiotu" o tyle przynajmniej, ażeby z Warszawy nie sądzić o charakterze choroby w Tulonie, która nie okazała się wcale „miejscową."

Urząd lekarski rozesłał okólnik do lekarzy wolnopraktykujących z zapytaniem: którzy z nich chcą podjąć się sanitarnego dozoru nad rewirami — bezpłatnie czy też za pieniądze. Kwestya ta była również przedmiotem narad Towarzystwa, ale nie wywołała długich sporów: medycy uchwalili, że ciężkich trudów nie myślą podejmować darmo. Pragnę gorąco, ażeby im łaskawy los oszczędził tych trudów całkowicie, ale jeżeli już będą musieli je dźwigać, powinni być wynagrodzeni — nie za pracę i znoje, ale za rzadką sposobność, która niejednemu z nich da szerszą praktykę. Corocznie uniwersytet warszawski wypuszcza liczne grono lekarzów, którzy nieraz trudnią się lekcyami muzyki, pisują poezye lub sprawozdania teatralne (autentyczne!) i fejletony. Dla takich epidemia jest żniwem, czasem obfitych plonów. w którym można i długi spłacić i porządny garnitur sprawić. Skazywanie ich w takiej porzena usługi bezpłatne byłoby nieludzkością, okrucieństwem nieprzystojnem. Nie, na to pozwolić niepodobna.

— Strasznie nam ciężko — mówiła do swej znajomej (autentyczne!) żona pewnego młodego doktora. Gdyby tak zdarzyła się *epidemijka*, zaraz kupiłabym sobie nowe futro.

Bądźmyż wyrozumiali.

Na pomoc... rozchwytano. Tak brzmią biuletyny dzienników o świeżo wydanym zbiorku na korzyść powodzian. Szczęściem

i mnie udało się chwytnąć jeden egzemplarz. Przeczytałem — i powtarzam: bądź co bądź... kupujcie, dopóki nakład starczy. Zwłaszcza zaś zwolennicy pobożności, tradycyi i „prawdziwego postępu“ znajdą pokarm dostatni, chociaż tylko jeden ksiądz zdanie swe wypowiedział. Dwustu blisko artystów i literatów żywych i jeden umarły (St. Grudziński) — musiało przecież złożyć się na urozmaicony bukiet. Połowy ich nie znam i nigdy nie słyszałem, a chociaż p. Minkowiecki w tym nowym zastępie spotkał zapewne kilkunastu gdzieś widzianych, doznał niewątpliwie radości z tak gwałtownego wylewu świeżych pseudonymów i nazwisk autorskich, a Estreicher z dumą powiększy swą ogólną sumę bibliograficzną. Niektóre prawdy są bardzo głębokie. Naprzykład „aforyzmy“ p. Godlewskiego, radcy Towarzystwa Kredytowego: „Postępować może tylko to, co istnieje w rzeczywistości, i o tyle tylko, o ile istnieje“ (Glossa: kamień istnieje a więc postępuje). „Postęp jest *ruchem*. Kto o postęp społeczeństwa swego seryo dba, winien przedewszystkiem troszczyć się o zachowanie organizmu społecznego“ (Glossa: o zachowanie, które jest spoczynkiem, nie o rozwój, który jest ruchem). P. Goltz przybiegając... na pomoc p. Godlewskiemu, dodaje: „Powódź Wisły jest rzecz straszna, ale straszniejszą jest powódź pojęć błędnych, chcących zatopić tradycyę, ideały i cnoty społeczeństwa“ (Czytaj: zatopić własność większą, pańszczyznę i księdza w szkole). Jak gdyby przymawiając tym dwu mężom, idący po nich p. Poraj mówi: „U nas każdy się mieni szermierzem postępu; przetoż mało kto ruszyć naprzód sam się waży.“ P. A. Sygietyński, z bajki o „wiecznym tułaczu kołysce,“ którą ciągle tłum widzi płynącą z dzieckiem po rozmaitych rzekach świata, wysnuwa taki wniosek: „Legenda, choćby nawet najbardziej grubiańsko naiwna, długo jeszcze będzie miała większy przystęp do umysłu ludzkiego, aniżeli jasne prawdy nauki i ścisłej obserwacyi. Zresztą nic w tem dziwnego. Wszakże zastęp szarlatanów, głoszących cuda słowem i piórem, nietylko jest bez porównania liczniejszy i bardziej wpływowy, aniżeli garstka sumiennych obserwatorów życia i natury, ale nadto bardziej szanowany. Kiedy bowiem mrówcza i mozolna praca tych ostatnich powszechnie nazywa się realizmem bezdusznym, przed którym strzedz się trzeba, to lekkomyślne błędy tamtych poczyą idealną, ktorej ludzkości z serca wydzierać nie należy.“ Ej, panie Sygietyński — woła p. Godlewski — „nie popychaj i nie szarp organizmu społecznego!“ Niewątpliwie najcenniejszym jest aforyzm p. Adolfa Peretza, który słusznie napisał: „Cyfry, podobno, są tak wymowne, że nie potrzebują komentarzy. Składam 100 rs. bez komentarzy.“ Gdyby podobnie uczyniła była panna Czaki, odpowiedziałbym jej na głęboko filozoficzne pytanie: czemu kobieta doskonała nie jest znakomitą artystką, chociaż każda jest nią potrosze?

Pisma warszawskie *Na pomoc* bardzo chwalą, publiczności podoba się głównie rysunek Kostrzewskiego, którego pijak, brodząc po wodzie, filozofuje: „że też to mój Boże naprzykład wódka to nigdy tak nie wyleje,“ wielostronni znawcy sztuki podnoszą nadewszystko oberek Lewandowskiego, co do mnie—wybieram sobie strofę z wiersza Konopnickiej:

> Ludy się kędyś prą falą mętną,
> Szumem ich wzbiera dziejowe tętno,
> Pod żaglem trzeszczą maszty przegniłe,
> To tylko żyje, co żyć ma siłę.
> A nam tymczasem... młynek na strudze,
> Obraca plewy swoje i cudze...
> Grą mielizny! Na głębiach giną...
> Niech żyje wino!

To bardzo piękny... oberek, po jego nucie tańczyć będziemy ciągle, wołając tylko, gdy zbyt w głowie się zakręci: na pomoc!

W Bolonii istnieją dwa maleńkie, ani posłańcom publicznym, ani portyerom nieznane z przeznaczenia swego pokoiki, z których jeden (za mojej bytności) zawierał kilka wiązek drzewa, a drugi trochę książek, rycin i parę popiersi. Jest to słynna od brzega do brzega Polski Akademia Mickiewicza, która odbyła swoje doroczne posiedzenie. Głównym faktem tej uroczystości—jak donoszą pisma—było to, że po lewej stronie rektora uniwersytetu, Magniego, siedziała pani Ogonowska, docentka języków polskiego i rosyjskiego, oraz że rektor „podniósł *ogromny pożytek* Akademii i konieczność zapoznania się z literaturą języków słowiańskich.“ Co do owej konieczności—słyszymy o niej, zdaje się, z ust włochów po raz tysiączny i nie wiemy, kiedy ona przez nich będzie uznaną w mierze przerastającej skromne, choć dwoiste siły pani Ogonowskiej; co zaś do owego „ogromnego pożytku“ — to niech pisma nasze przestaną bałamucić ogół zdawkową grzecznością włoską, pod którą żadna korzyść, prócz blagi, się nie kryje. Owa sławna Akademia jest prostą zabawką, o tyle nieprzyzwoitą, że nawet nie posiada wszystkich wydań dzieł Mickiewicza i porządnej jego statuy. Kto w niej widzi nasz tryumf narodowy, ten albo—mówiąc językiem górali zakopiańskich — „szkli,“ albo myli się tak, jak ja twierdząc w przeszłym numerze, że Kraków posiada... wodociągi.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Liberalizm wspinający się na każdą z kolei przegródkę. — Kantory do przyjmowania pieniężnej korespondencyi z niebem. — Zajście w Pożajściu. — Krwawe boje na ulicy Marszałkowskiej i stosunek do nich miast prowincyonalnych. — Znajomość chemii śród reporterów.—Zasada p. Dawida Ruuda i jej niefortunny wyznawca.—Żydzi w karczmach.

Żegnałem kiedyś na tem miejscu *Echo łomżyńskie*, którego zgubna działalność szerzyła śród dzieci chłopskich apetyt w kierunku dworskich „jabłków“ i zagrzewała swawolne wymagania fornali, pragnących mieć ciepły kożuch wzimie. Tak jest:

> Zanadto było pieprznej prawdą woni;
> I nadto barwy, co się w różach płoni,

płoniło się w czerwonych zasadach biednego Kopciuszka postępu.

Pewnego poranku do redakcyi wszedł fagas i przyniósł jej na srebrnej tacy... wyrok śmierci od wielmożnych dziedziców... Pismo zamknięto, lokaj z redakcyi wyszedł, ale duch jego tam pozostał i, ku zadowoleniu mniej „piśmiennych“ mecenasów, znęca się teraz nad ideą liberalizmu. Wolnomyślicielstwo nie byłoby zresztą przestraszyło *Echa*, gdyby nie to, „że w miejscowych łazienkach przegródki nie są szczelne i męska połowa gości jest tak niegrzeczna, że zagląda przez szpary do damskich“ (połów, gości, szpar, przegródek, czy łazienek?). Nie myślcież tylko państwo, że szpary w deskach, to już ów liberalizm; nie, *Echo* wcale inaczej go sobie przedstawia, bo oto „widzieliśmy młodzieńca, który oczekując na opróżnienie łazienki, chodził po korytarzu, wspinał się na każdą z kolei przegródkę i przez nią lub przez otwory w drzwiczkach zaglądał do kąpiących się dam...“ Wyobrażam sobie, co się działo w duszy współpracownika *Echa*, który i dla zasad swych i dla wieku zapewne nie mógł „wspiąć się“ na jedną choćiażby przegródkę... i zapobiedz dalszemu pochodowi śmiałka. Nie dziwię się też, że wykrzyknął tylko: „Ha, trudna rada z liberalnością pojęć, gdy je mierzyć zechcemy na stopę przyzwoitości!“ Nie mierząc tego wykrzyknika „na stopę“ zdrowego sensu, którego tam niema—posłuchajmy dalej: „Swoboda wystawiania malowanej Nany na widok publiczny, dyskusya w prasie o tej pierwszej próbie łamania „przesądów“ obyczajowych... wszystko to razem ma skutek ten, że się wywołało pragnienie oglądania Nan żywych w kąpieli, czy za kąpielą — choćby na placach publicznych.“

Boże, dlaczegoż pismakom od łazienek pozwalasz mówić o liberalizmie! Czyż powódź, zabierając tyle siana i słomy z pól naszych, nie mogła uprzątnąć sieczki, którą hojnie uposażyłeś głowy reporterów gubernialnych? Czyż niema w Łomży jakiegoś adwokata, lekarza—farmaceuty wreszcie, co by powiedział redakcyi *Echa*, że objawy zgnilizny wcześniejsze są od wszelkich haseł postępowych, że liberalizm nie podsycał w wieku XV rozpusty klasztorów, nie wynalazł grzechu sodomskiego. Nie idzie mi o kaznodzieję z *Echa*, ale o mniej wykształconych jego czytelników. Przestańcież do licha raz tumanić tych poczciwców, którzy pod waszym kierunkiem z liberalizmu zrobią „otworek w drzwiczkach.“

Jeszcze jedno. O czemkolwiek pisać będziecie—oddawajcie pierwszeństwo językowi polskiemu przed innymi: nie budujcie Łomży na *wzniosłej* górze i nie szukajcie przyczyny *temu*, że ktoś postąpił *przeciwprawnie*.

Sprawy poruszone tutaj nie dotkną prawdopodobnie czytelników *Echa* zbyt żywo: zajęci są oni teraz rzeczą ważniejszą, bo „przystępowanie do pożyczek nowych Tow. Kr. Ziems. (z mnożnikiem przez 80) już się rozpoczęło w granicach gub. łomżyńskiej.“ Sztuka „przystępowania“ jest u nas dość uprawianą, przypuszczam więc, że ziemianie bez wielkich wysiłków wywiążą się z włożonego na nich obowiązku. Jeżeli nie uniosą się oni sobkowstwem, jeżeli, chcąc złożyć część jakąś na ołtarzu dobra publicznego, zawitają do któregokolwiek z tutejszych hoteli, to prasa winna będzie przypomnieć im, że u nas wszelkie przyjemności kosztują drożej od niewinnego „wspinania się na każdą z kolei przegródkę...“

Jeżeliś sądził, czytelniku, że zamieszkała przez ciebie część Europy cieszy się błogim pokojem, toś się mocno mylił. W wielu miejscowościach naszego kraju toczą się teraz krwawe bójki o... wodę. Stróże kamieniczni, nie wiedząc nic o utworach gazeciarskich, szukają jej — w studniach. Codziennie, pomiędzy godziną pierwszą i trzecią w nocy, na ulicy Marszałkowskiej np. obozują zbrojne zastępy zdobywców i łapaczy wody. Łapanie tego płynu jest o wiele trudniejszem, niż np. „przystępowanie“ do pożyczki, a jedynym „mnożnikiem“ warunkującym tutaj pomyślny obrót sprawy są: bezsenność i silne pięście. Będąc zwolennikiem białej magii, wychodzę niedawno o godz. 2 na podwórze, aby się dowiedzieć o położeniu wielkiej niedźwiedzicy. Do bramy wpada stróż z dwiema konewkami, a za nim żona z miotłą.

— A tośmy ich nakoniec przemogli—wołają oboje.

— Kogo?

— A tych—z Chmielnej!.. Już bez trzy noce zabierali nam ciągiem wodę, ale dzisiaj wzielim ze sobą kobiety... (stróżka tryumfująco spogląda na miotłę) i woda nasza.

Nie byłbym wspominał o tej drobnostce czysto warszawskiej, gdyby nie obawa o prowincyę. Siedlce i Kielce również nie mają porządnej studni i kto wie, czy wysłańcy ich nie zwiększą wkrótce szeregów „tamtych z Chmielnej.“ Niezaradność magistratu w Siedlcach tem godniejszą jest wyrzutów, że zarząd kolei Terespolskiej proponował mu kiedyś zbudowanie pompy miejskiej na koszt wspólny.

Drugą klęską, trapiącą miasta prowincyonalne — jest zamiłowanie w naukach przyrodniczych. Widmo cholery włożyło do rąk reporterskich wszystkie stare podręczniki chemii i hygieny. W każdem piśmie codziennem jest dzisiaj tyle amoniaku, od-

padków gnijących, ciał organicznych, cuchnącej cieczy zielonkawej, że gdyby nie najczystsza woda, jaką współpracownicy starają się rozcieńczyć owe obrzydliwości — żadnej gazety bez oględzin lekarskich bym nie czytał. I Łomża, stojąca na „wzniosłej“ górze, i niżej położony Lublin, i niemający żadnego położenia Pacanów — wszystkie a wszystkie załamują ręce nad swemi „organicznemi odpadkami“ i wołają o pomoc komitetów zdrowia. Przyczyną błahego skutku nawoływań jest wyszukane słownictwo reporterów.

Cholera zresztą, jeżeli zawita do nas, to chyba nie prędko. Tymczasem pocieszyć się tem możemy, że ministrowie handlu, spraw wewnętrznych i robót publicznych zażądali od władzy powiększenia dwumilionowego kredytu w celu skuteczniejszej walki z zarazą. Żądanie ich odnosi się, co prawda, do Tulonu i Marsylii, nie traćmy jednak nadziei, że piękny przykład znajdzie naśladowców.

Klęska powodzi nie przestraszyła wszystkich tak, jakbyśmy mogli sądzić. Są jeszcze ludzie lekceważący siłę wody. Przed tygodniem — powiada korespondent *Wieku* — jeden z bogatszych i pseudointeligentnych izraelitów lubelskich kąpał się w Bystrzycy z dwoma synami. Jeden z nich począł tonąć. Na nieszczęście ojciec pływać nie umiał, brat również. Zawołali więc o ratunek. Rozpaczliwe krzyki ojca usłyszeli włościanie, koszący opodal siano i jeden z nich, przybiegłszy nad rzekę, w ubraniu rzucił się do wody i nawpół żywego dzieciaka wyratował od niechybnej śmierci. Przywołany lekarz dokonał reszty. Ojciec zapragnął wynagrodzić zbawcę dziecięcia i z wszelką godnością i powagą wydobył z kieszeni 10, wyraźnie *dziesięć* groszy, które ofiarował dzielnemu wieśniakowi „za fatygę.“ Wybawca, rozumie się, nie przyjął dziesiątki, mówiąc: „Pan Bóg nagrodzi.“ Przyczyną sknerstwa izraelity jest zapewne zbyt późne ukazanie się wydawnictwa *Na pomoc*. W dziele tem współwyznawca hojnego żydka p. Dawid Rundo wygłosił nietylko wzniosłą ile praktyczną zasadę Talmudu. „Ważniejszą jest zasługa tego, kto drugiego do dobroczynnych uczynków nakłania, aniżeli tego, który je sam wykonywa.“ Ponieważ lubelski izraelita dobrego uczynku wykonać nie mógł, powinien więc był zachęcić doń na przyszłość poczciwego wieśniaka — rozumie się nie dziesiątką.

Wypłata długu wdzięczności przejść musi do następnego pokolenia. Jeżeli syn izraelity osiądzie kiedyś w wiosce, gdzie mieszkają synowie zacnego chłopa — nie będzie ich zapewne tak nikczemnie obdzierał i rozpajał, jak to czynią dzisiaj niektórzy starsi jego współwiercy. Uskarża się na nich *Echo łomżyńskie*. Gazeta powołuje się przytem na artykuł 9 ustawy, zabraniający żydom utrzymywania propinacyi po wsiach. „Wobec tego staje się rzeczą trudną do zrozumienia, iż rzesza judzka posiada pierwszeństwo przed chrześcianami w znacznej liczbie karczem wiejskich. Posiadacze prawa propinacyi wypuszczają karczmy żydom, korzystając z postąpionych cen wyższych.“

Wcale nie jest „trudnem do zrozumienia.“ Potrzeba tylko przekonać się raz przecie, że czuwanie nad moralnością i dobrobytem naszych kmiotków bardzo często nie stanowi jeszcze najmilszego zajęcia „posiadaczy prawa.“ My potrafimy już wypędzać dyabłów liberalizmu z „otworków w drzwiczkach,“ umiemy zarzucać zdradę stanu ludziom noszącym kamizelkę innego kroju, ale to nie przeszkadza nam ściskać rękę tych, co przy pomocy ciemnego żyda i szabasowej rozpustnicy wyciskają ostatnie krople potu z ogłupiałych chłopów.

A. Kord.

Z gub. mińskiej pisze korespondent do *Gaz. polskiej:* „Taki tu w obecnej chwili brak chleba, szczególniej u włościan, że wielu z nich chodzi po żebraninie; ci, co przynoszą do dworu jagody, żądają za to nie pieniędzy, lecz mąki lub chleba kawałek, którego w domu *od miesiąca* nie jedli. Lud żyje gotowaną zieleniną bez chleba a często i bez soli, której nie ma za co kupić. Wielu włościan skarży się na osłabienie skutkiem głodu, i że nie mogą pracować. Dwory nietylko robotnikom płacą, lecz i karmić ich muszą. Rzadkie między ludem rodziny mają w obecnej chwili chleb a większość niema ani ziarnka i absolutną cierpi nędzę. Do wielu dworów idą za przekarm na robotę, ale i obywatele w wielu dworach chleb kupują sami od wiosny, bo go niema.

W tej chwili była u mnie kobieta z koszykiem jagód, mozolnie w lesie uzbieranych, słaniająca się z głodu prosząca o chleb lub trochę mąki, bo w domu zostało sześcioro dzieci głodnych. Przyszła ze wsi odległej o półtora dobrej mili ode mnie. Jest to żona gospodarza włościanina, mającego włókę ziemi (tj. 30 morgów i to w glebie wcale dobrej). Oto nasz stan ekonomiczno-społeczny w kraju.“

WYZNANIA KAMERERA.

Czytelnicy nasi może przypominają sobie morderstwo, spełnione w Wiedniu na bankierze Eisercie i jego dwu maleńkich synach przez dwu rabusiów, których policya, pomimo wszelkich wysiłków odkryć nie zdołała. Z początku aresztowano niejakiego Pongratza, kryminalistę, gdy jednakże skradzione papiery procentowe odnaleziono później w jednym z banków peszteńskich i wyśledzono, że je do zmiany przesłał jeden z socyalistów, nie ulegało wątpliwości, że owe morderstwo było dziełem coraz bardziej rozszorzających swe środki i cele anarchistów. Podejrzany o udział w niem i skazany niedawno na śmierć Stellmacher (zabójca agenta policyjnego Blöcha) zapierał się do końca; dopiero teraz uwięziony jego wspólnik Kamerer stwierdził podejrzenia i złożył zeznania dotyczące tej zbrodni. Ciekawe to zeznania! Przekonywają one, jak silnie anarchizm przerósł pierwiastkami moralnej dzikości. Zbójca i rabuś, który rozcina toporem głowy małym dzieciom, który kradnie pieniądze, wkłada sobie przed sądem wieniec męczeński na głowę, udaje bohatera, ewangelistę „państwa idealnego.“ Oto sromotny wytwór zepsucia i... praw wyjątkowych. Ponieważ prześladowanie otacza zwykle swoje ofiary nimbusami, więc zwykli zbrodniarze, osłoniwszy się „ideą,“ pod jej osłoną popełniają rozboje i nietylko sami są przekonani o swojem „wyższem posłannictwie,“ ale jeszcze w masach budzą szacunek. Kamerer, okrutny morderca, ponieważ nazwał się socyalistą, jest uważany nie za zbrodniarza, ale za męczennika. Straszne pomieszanie pojęć!

Nie należy za tę zgniliznę pociągać do oppowiedzialności ludzi prawych, szlachetnemi natchnieniami ożywionych, czystych nawet w swych błędach, którzy na nieszczęście noszą to samo miano z kandydatami do kryminału. W każdym jednak razie socyalizm musi się liczyć z tym swoim polipem, z tą tajemniczą bandą opryszków, rozciągających tak daleko zasadę: „cel uświęca środki,“ że zacierają wszelką granicę między złem a dobrem. Stellmacher, Kamerer, to nie zbawcy ludu, nie święci jego martyrologii, ale potwory, które hańbią zbrodniami nadużyty sztandar. Jedno z pism niemieckich, ledwie wąską miedzą od socyalizmu oddzielone, powiada: „Nad planami uszczęśliwienia świata anarchistów unosi się powien mrok, a jedyną zasadą, w którą ona zdaje się wierzyć i praktycznie stosować, jest to, że wszystko, co istnieje winno uledz zniszczeniu. Aleź to nie jest żadna teorya polityczna, lecz zbrodnicza, a państwo i społeczeństwo mają prawo i obowiązek z całą energią prześladować łotrów (Szandbuben) i ubezwładniać.“ To jest głos gazety, która otwarcie przyznaje się do pokrewieństwa z socyalizmem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 24 lipca.

Na obradach komisyi finansowej konferencyi egipskiej gabinet angielski zupełną poniósł porażkę, gdyż wszyscy doradcy na posiedzeniu w d. 17 b. m. odbytem, oświadczyli się przeciwko projektowi anglików zredukowania egipskiego podatku gruntowego oraz procentów od obligacyj dawniejszych długów egipskich. Każdy z doradców złoży teraz zapewne raport swemu rządowi i czekać będzie dalszych wskazówek; gabinet angielski, przypisując niepowodzenie swoje głównie ajentowi finansowemu Francyi, p. Blinières, uskarża się teraz na niego w rozesłanej do mocarstw nocie, wykazując zarazem bezzasadność krytyki francuskiej. Samo usprawiedliwianie się takie dowodziłoby zupełnego fiasco gabinetu w tej sprawie. W rzeczach wewnętrznych Anglii główną uwagę zajmuje w dalszym ciągu zatarg pomiędzy rządem i Izbą lordów, którzy, jak wiadomo, odrzucili bil o reformie wyborczej. Stronnictwo liberalne agituje więc, jak może, przeciwko Izbie wyższej. W ubiegły poniedziałek zwołało ono wielki meeting, który jednakże tak pod względem liczebnym, jak też i odnośnie do wyników praktycznych zawiódł oczekiwania przywódców. Uchwalono na nim bil wyborczy w jesieni na nowo do zatwierdzenia Izbie wyższej przedstawić. Lordowie, jak słychać, mają go i wtedy nieprzyjąć.

Układy pomiędzy Francyą i Chinami dotąd się nie skończyły: żądanie wynagrodzenia wojennego napotyka w Pekinie na większy, jak się zdaje opór, niż warunek ultimatum, odnoszący się do ewakuacyi Tonkinu. Chociaż w Paryżu spodziewanem jest pokojowe załatwienie tej sprawy, to jednak flota admirała Courbeta stoi na kotwicy pod arsenałem Futszen, który ma być opanowanym w razie zerwania układów z Chinami. Chińczycy w Futszen są podobno gotowi na spotkanie wroga. Wstęp do portu zatarasowany.

Nowy gabinet bulgarski (radykalny) ukonstytuował się pod przewodnictwem Karawelowa w sposób następujący. Prezes sam objął aż cztery teki: skarbu, komunikacyi, handlu i rolnictwa, Sławejkow sprawy wewnętrzne, Zanow—zagraniczne, Radosławow — tekę sprawiedliwości i Karolew—oświecenia. Gabinet więc składa się tylko z pięciu osób, gdyż twórca jego nie mógł dla niektórych działów machiny państwowej znaleźć potrzebnych kierowników. Nie świadczy to o zbyt wielkich zasobach i sile stronnictwa radykalnego w Bulgaryi.

Boerowie transwalscy wysyłali niedawno deputacyę do Europy, a głównie do Holandyi z prośbą o poparcie ich widoków handlowych. Chodziło głównie o pożyczkę pieniężną na wybudowanie kolei od Pretoryi do Kolonii portugalskiej nad zatoką Delagoa położonej. W Holandyi deputatów spotkała odpowiedź odmowna. Okoliczność ta daje możność Bismarkowi wmięszania się bądź półurzędownie, bądź przez stosunki prywatne w sprawy transwalskie i rozszerzenia działalności Niemiec w kierunku kolonizacyi zaeuropejskiej. O tej ostatniej jedno z pism niemieckich tak się wyraża. „Za kilka lat międzymorze Panama będzie przekopanem, a wtedy zmniejszy się znacznie odległość Europy od wysp oceanu Spokojnego, które po większej części nie należą teraz do nikogo. O ziemie te rozpocznie się silne współzawodnictwo się między na-

rodami europejskiemi, a jeżeli Niemcy nie chcą być z niego wykluczone, powinny zawczasu postarać się o kilka punktów oparcia. Parostatki pocztowe, o subwencyowanie których obecnie chodzi, mają przygotować usadowienie się Niemiec w Polinezyi." Taż sama gazeta, doradzając Anglii, aby się już nie kusiła o nowe nabytki kolonialne, wyraża zdanie, że „kraje nienależące dotąd do żadnego z państw europejskich, powinny przejść w posiadanie Niemiec."

Jest więc nadzieja, że zakres kulturkampfu się rozszerzy... Oby przynajmniej, dążąc na zachód, rabusie pruscy pofolgowali nieco odwiecznemu swemu *Drang nach Osten*...

CUDZE GŁOSY.

Wiek przytacza „wymedytowane w kozie orędzie" p. Płoszczańskiego (uwięzionego za agitacyę z procesu Olgi Hrabar we Lwowie):

„Piętnuję wraz z całym (tylko?) galicyjsko-rosyjskim narodem i zarzekam się przywrócenia dawnych polskich porządków na Rusi. Czem była Polska dla naszej Rusi, jeszcze lepiej wyuczyłem się, pracując nad tą kwestyą podczas wolnego od innych zajęć czasu więziennego. Przodkowie nasi — to męczennicy i bohaterowie zarazem, których śmiało postawić można na równi z męczennikami pierwszych wieków chrześciaństwa! Teraz tem trudniej mi pojąć, jakim sposobem mogła się tak długo utrzymywać na świecie podobna Rzeczpospolita, i jak mogą być śród nas ludzie zdolni pragnąć powrotu takich starych porządków!"

Do tego orędzia *Wiek* dodaje następujące uwagi:

„Tak to poprawił się nasz przyjaciel, choć, co prawda, trudno było przewidywać poprawę i przypuszczać, że p. Płoszczański zejdzie z drogi, na której nie ma nic do stracenia, a do zyskania bardzo wiele. Czytając jednak te bluźnierstwa obstalowanego złoszika, niepodobna obronić się uczuciu wielkiego obrzydzenia. Wszelka nieprawda, krzywdząca dane społeczeństwo, jest wogóle wstrętna, to jednak programowe, tendencyjne i trzymane w jednem natężeniu oszczerstwo, które stale uprawia *Słowo* z kilku innymi dziennikami rosyjskimi, zdolne jest wyrwać niemal z piersi bluźnierczy okrzyk: „Panie, nie przebacz im, bo wiedzą, co czynią!"

Tak jest, wiedzą. Gdybyśmy o tem na chwilę wątpili, dość byłoby nam wziąć do ręki dzisiejszą *Petersburger Zeitung*, która przywiódłszy „celniejsze" ustępy artykułu p. Płoszczańskiego, kończy je od siebie słowami uznania: „Cieszyć się należy z coraz silniej występującej świadomości narodowej śród galicyan." Tak więc artykuł usiłujący wichrzyć dwie strony, zabierające się do podania sobie dłoni na dobre, otaksowany jest przez *Zeitung* jako objaw poczucia narodowego. Niechajże nam wybaczy, że tej dobrotliwej taksie nie zaufamy. Ani artykuły Płoszczańskich, ani pochwały *Zeitungów* nie mogą być objawami zbudzonego poczucia narodowego w Galicyi; przejawia się ono dzisiaj właśnie w tem zobopólnem dążeniu polaków i rusinów do podania sobie dłoni, które Płoszczańskich ostatecznie wyrzuci za nawias, a którego zdaje się ciż Płoszczańscy, popierani nawet *Zeitungami*, już nie przemogą. Mogło być niedobrze na Rusi halickiej przed wiekami, ale czyż zatem idzie, aby zawsze źle być miało? Może być dobrze, i da Bóg, że będzie; że zmartwiłoby to porządnie wszystkie *Zeitungi* na świecie, o tem wiemy, ale cóż począć — bywa się na wozie, bywa i pod wozem.

Petersb. Ztg. nie jest osamotniona śród prasy tutejszej w tej głębokiej sympatyi ku temu „zbudzonemu poczuciu narodowemu w Galicyi." Dzielą ją rozumie się *Petersb. Wiedomosti* i *Nowoje Wremia*. To ostatnie kończy sentymentalnie swoją robotę następującemi słowy:

„Bardzo smutno, że czcigodny diejatiel tak drogo przypłacił *wierność swojemu narodowi*, ale ofiara jego i jego towarzyszów nie może pozostać bez dobrych następstw dla sprawy, której służył i służy."

Tę ostatnią nadzieję i my w zupełności podzielamy. I Płoszczański i *Nowoje Wremia* i tutti quanti w rezultacie oddadzą ważne usługi sprawie słowiańszczyzny; działalność ich dzierzga brudnemi cieniami tę sprawę, dopomagając do lepszego ocenienia wszystkich jej stron świałych i czystych."

Ta korzyść negatywna jest niewątpliwą.

Gazeta Polska przytacza następujący wyjątek z wiedeńskiego *Fremdenblattu:*

„Jeden z posłów polskich, odwiedziwszy Kraszewskiego w Magdeburgu, tak swój pobyt w fortecy opowiada: „Otrzymawszy pozwolenie widzenia się z Kraszewskim, udałem się do zajmowanego przez niego niewielkiego pokoju i spędziłem z nim godzin dwie. Izdebka jego, o dwu oknach, znajduje się na parterze i jest zaopatrzoną tylko w niezbędne do użytku meble. Kraszewski bardzo się zestarzał od czasu naszego ostatniego widzenia się, wychudł jak szkielet, pochylił się i dręczące go cierpienia fizyczne odbiły się na jego twarzy. Skarży się na niestrawność i brak apetytu, i aczkolwiek wolno mu przechadzać się codziennie dwie godziny wewnątrz fortecy, niezawsze może z tego pozwolenia korzystać, gdyż mu nogi popuchły i wszelki ruch stał się bardzo utrudnionym. Na złe obchodzenie się z nim władz wojskowych nie żali się bynajmniej, komendant fortecy jest człowiekiem ludzkim i przystępnym. Pożywienie przynoszą Kraszewskiemu z miasta, herbatę sam sobie przygotowuje. Pisze on niewiele, czyta więcej i musi często pozostawać w łóżku, najczęściej kładzie się spać już o godzinie 7-mej lub 8-ej."

Winni. Odpowiedzialność za rozruchy antiżydowskie w Niżnim Nowgorodzie pisma zagraniczne starają się zwalić w znacznej mierze na prasę rosyjską. Tak np. *Politische Correspondenz* mówi:

„Kilka dzienników rosyjskich, z gazetą *Now. Wremia* na czele, rozpoczęło kampanię przeciwko żydom, która naturalnie powiększała nienawiść ludności rosyjskiej dla żydów, znajdującą już i przedtem obfitą dla siebie strawę. Skutki tego niedługo dały czekać na siebie!"

Inne znów pismo, *Gazette diplomatique* powiada:

„Doszło do tego, że dwa główne petersburskie organa, *Nowoje Wremia* i *Nowosti*(?), w tym tygodniu zupełnie poważnie zajmowały się „należącą do dziedziny archeologii" kwestyą (używania przez żydów krwi chrześciańskiej). I podobne niedorzeczne oskarżenia w dziewiętnastym wieku znajdują czytelników w jednej z pierwszych stolic Europy, czytelników namiętnych, roznoszących śród masy publiczności drażniące dźwięki swoich bezsensownych, ale niebezpiecznych komentarzy."

Petersburger Zeitung, odpowiadając na pytanie, kto będzie generał-gubernatorem w kraju zachodnim, pisze:

„W administracyi zastępuje generał-gubernatyra od pewnego czasu gen. Kochanow, który już do owego urzędu tak się dopasował, że z trudnością mógłby być zastąpiony. Ale z drugiej strony pod względem wojskowym nie jest p. Kochanow tak zasłużonym, iżby mógł otrzymać główne dowództwo nad wojskami okręgu wileńskiego. Jeżeli zaś dowództwo to obejmie jakiś starszy generał— zdaje się, że dowódca gwardyi hrabia Szawałow— to niezawodnie obstawać będzie przy tem, aby i administracya kraju przeszła w jego ręce. Rozstrzygnięcie tego ważnego pytania oczekują też wszyscy z wielkiem zaciekawieniem, nastąpi ono też zapewne zaraz po powrocie Najj. Pana z wycieczki do wybrzeży finlandzkich."

Kijewlanin wychwala pośpiech i energię naszej inteligencyi w podawaniu pomocy powodzianom.

„Dobroczynność prywatna działa w kraju nadwiślańskim niezmiernie żywo i szybko. Polska inteligencya zachowała się wobec klęski z godną uznania jednomyślnością i taktem, organizując szybko komitety do zbierania funduszów, urządzając koncerty, zabawy, odczyty i t. p. Inteligencya polska okazała się wyższą od naszej, która dotąd nie odezwała się na nawoływania o pomoc."

Moskowskij Listok z tego samego powodu powiada:

„Wylew w Galicyi przypomniał nam powódź, jaka kilka lat temu była w Szegedynie w Węgrzech. Wówczas nasi rodzinni liberałowie, niewiadomo skąd, przejęli się nadzwyczajną czułością dla zastarzałych wrogów Rosyi, madziarów, zrobili alarm i sypnęły się sute ofiary na odbudowanie zniszczonego węgierskiego miastu. Teraz zaś milczą, kiedy klęska spadła na *rosyjską* Polskę. Fakt smutny i trudno zrozumieć naszą obojętność na nieszczęścia doznawane przez ludność. Polska inteligencya i w Galicyi również okazuje się nader czynną. I tam również z prywatnej inicyatywy wybornie zorganizowano prywatną pomoc."

P. Muraszko ostatecznie zwątpił o możliwości pojednania się polaków z rosyanami. Pisze bowiem w *Moskowskich Wiedomostiach*:

„Dziwna rzecz, jak pewna część rosyjskiej, tak zwanej liberalnej prasy usiłuje w sądach o polskiej sprawie koniecznie wprowadzać w błąd swoich czytelników i przez fałszywe przedstawianie istotnego usposobienia polskich umysłów przekonywać swoich czytelników, że całe teraźniejsze społeczeństwo polskie wyrzekło się wszelkich politycznych marzeń i szczerze pragnie pojednania z Rosyą. Takiej dążności do otumanienia rosyjskich czytelników nie można nazwać inaczej jak niesumienną. W samej rzeczy w ostatnich czasach wyszło na jaw tyle faktów i okoliczności, świadczących o nieprzyjaznem usposobieniu pewnej części społeczeństwa polskiego względem Rosyi i wszystkiego co rosyjskie, że mówić o pojednawczych dążnościach polaków znaczy to samo, co zamykać oczy na rzeczywistość, aby tem zuchwalej przekręcać prawdę i tem bezczelniej głosić fałsz. Prócz tego zagraniczna polska prasa codziennie przynosi nam nowe dowody swojej krańcowej nienawiści dla Rosyi. Napada ona systematycznie na wszelkie objawy życia rosyjskiego zwłaszcza na zachodniem pograniczu, cieszy się każdem rosyjskiem niepowodzeniem i z zaciętością rzuca się na tych krajowców, którzy wyrzekłszy się polskich iluzyj, w jakikolwiek bądź sposób okazują swoje rosyjskie przekonania i uczucia. Wszystkie korespondencye, przesyłane przez rosyjskich polaków do gazet galicyjskich i poznańskich, są przejęte niepomiernym polskim fanatyzmem i tchną głęboką nienawiścią ku rosyanom."

Na dowód przytacza p. Muraszko filię Banku państwa w Tomaszowie i cerkiew prawosławną w Łodzi, przyczem popełnia niesprawiedliwość, nie wspomniawszy wcale o p. Poznańskim.

Tenże p. Muraszko, ożywiony szczerą chęcią pojednania, tak grzmi przeciw sądownictwu litewskiemu w *Mosk. Wiedom.*:

„Wszyscy myślący *zdrowo* w kraju spodziewali się, że władze sądowe okażą się na wysokości swego zadania i ludzi utrzymujących potajemne polskie szkoły przykładnie karać nie omieszkają, kładąc tym sposobem kres jednemu przynajmniej ze sposobów szerzenia jezuicko-polskiej propagandy wśród rosyjsko-litewskiej ludności. Niestety, stało się inaczej. Sąd nietylko nie dopomógł do wytępienia złego, ale stanął otwarcie po stronie polskich agitatorów i *publicznie ogłosił się stronnikiem polskiej sprawy*. Wyrokami jego polscy agitatorowie skazywani zostają na *komiczne* kary w rozmiarze jednego lub pół rubla, co sprawia ciężkie wrażenie na zwolennikach rosyjskiej sprawy w kraju zachodnim, i czyni płonnemi zabiegi gorliwe policyi i zakładów naukowych, wreszcie i samych agitatorów uzuchwala niepomiernie. Ci ostatni, przeświadczywszy się też w praktyce, że ich „święta sprawa" pozyskała współczucie sądownictwa, płacą śmiało pocieszne kary, albo idą na jeden dzień do aresztu i potem z jeszcze większą ochotą polaczą litwinów i białorusów. Tym sposobem sąd swojemi wyrokami, wywoływującemi

wśród polaków urągania nad sprawą rosyjską na Litwie, dopomaga polskiej propagandzie w tym nieszczęsnym kraju.“

I pojednaj tu się z takim aniołkiem!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nadesłane. Komitet gubernialny radomski, utworzony z polecenia warsz. generał-gubernatora w celu niesienia pomocy powodzianom—prosi nas o pomieszczenie następującej odezwy: Straszna klęska, jaka nawiedziła większą część kraju, szczególniej dotknęła radomską gubernię. Wskutek rozlewu rzeki Wisły i Kamionnej zniszczone zostało około 40,000 mórg pól, ogrodów i łąk. Więcej jak 2000 rodzin zostało pozbawionych wszelkich środków do życia. Klęska ta tem jest większa, że nie ogranicza się zniszczeniem jednorocznych zasiewów. W wielu miejscach pola pokryte są iłem i piaskiem, wskutek tego potrzeba kilku lat pracy i nakładów, aby przyprowadzić je do dawnego stanu. Tym sposobem pomoc dla nieszczęśliwych nie może być chwilową, lecz musi być zapewniona i nadal.

Chociaż wielką jest pomoc, udzielona przez Najjaśn. Pana, chociaż miejscowe komitety starają się ulżyć nędzy, to środki te będą niedostateczne, jeżeli cała ludność kraju nie weźmie się do dzieła, i jeżeli prywatna dobroczynność nie pośpieszy z pomocą.

W tym celu Komitet gubernialny radomski udaje się do szan. Redakcyi z prośbą otwarcia u siebie listy ofiarodawców na biednych powodzian i przesyłania zebranych pieniędzy do Radomia na ręce członków Komitetu adwokatów przysięgłych przy Sądzie Okręgowym radomskim: Antoniego Sobieszczańskiego lub Władysława Silnickiego.

Na powodzian. 20 b. m. bawiący na kuracyi w Maryenbadzie Antoni Rubinsztein dał wielki koncert; jedna połowa dochodu przesłaną ma być do Lwowa, druga—do Warszawy. Na ten sam cel odbyło się w Sochaczewie przedstawienie amatorskie, a mieszkańcy Łomży złożyli dotąd na ręce prezydenta miasta 240 rs. k. 50.

Towarzystwo Kred. Ziemskie, chcąc przyjść w pomoc stowarzyszonym, których dobra położone nad Wisłą doznały klęski—postanowiło rozłożyć raty bieżące na mniejsze i dogodniejsze wypłaty.

Nowa fabryka szkła i kryształów utworzoną została w Ząbkowicach. Właścicielami jej są—czesi.

Najnowszy obraz Matejki przedstawia „Wzięcie arcyksięcia Maksymiliana przez Zamojskiego pod Byczyną.“

Pomnik Brodzińskiego. Podczas zjazdu pedagogicznego odsłonięty został w Tarnowie pomnik Kazimierza z Królówki z następującym napisem: „Kazimierzowi Brodzińskiemu, uczniowi gimnazyum tarnowskiego—żołnierzowi—nauczycielowi—poecie, wdzięczni rodacy.“ Twórcą pomnika jest Gadomski z Krakowa.

Wskutek systematycznych nadużyć i krachów w rozmaitych instytucyach finansowych, powzięto myśl, jak donoszą pisma rosyjskie, rozszerzenia ustawy „o odpowiedzialności majątkowej budowniczych, wchodzących w skład komisyj szacunkowych“ na wszystkie takie instytucye kredytowe, które wypożyczają sumy na zastaw nieruchomości.

Istniejący przy ministerium sprawiedliwości „wydział informacyjny,“ dostarczający wiadomości o rozmaitych sprawach karnych i osobach udział w nich biorących, dotychczas dostępnym był tylko dla przedstawicieli sądownictwa; obecnie zaś, jak donoszą *Nowosti*, ma być otwartym i dla publiczności.

Wykształcenie kobiet-lekarek. Ministeryum oświaty na zapytanie swe, uczynione obcym mocarstwom, co każde z nich robi dla wykształcenia medycynierek, otrzymało odpowiedzi następujące. Zakład, wyłącznie kobietom-lekarkom przysługujący, znajduje się tylko w Londynie; jest to instytucya prywatna z kursem 4-letnim, po wysłuchaniu którego następuje egzamin w uniwersytetach londyńskim lub dublińskim. Inne państwa, jak: Francya, Włochy, Hiszpania, Belgia, Holandya i Dania pozwalają kobietom kształcić się w uniwersytetach wraz z mężczyznami — nie inaczej wszakże, jak po złożeniu *atestatu dojrzałości*. Nakoniec w Austryi i Prusach wstęp na medycynę jest kobietom wzbroniony. Ze wszystkich miast najwięcej słuchaczek, bo aż 67, posiada wydział lekarski w Paryżu. W liczbie powyższej jest 33 rosyanki.

W Krakowie utworzyło się stowarzyszenie, złożone z postępowych izraelitów. Celem ich ma być urządzenie wykładów Biblii i Talmudu wyłącznie w języku polskim. Według dzienników, stowarzyszeniu temu ma przyjść z pomocą pieniężną *Alliance israelite*.

Dr. K. Chodounsky wydał w Pradze opis zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu.

Sprawa o uroczystość Sobieskiego, urządzoną niedawno przez polską ludność Torunia, toczyła się przed kilku dniami w izbie karnej toruńskiego sądu ziemiańskiego. Prokuratorya bowiem starała się obalić wyrok uniewinniający pierwszej instancyi. Apelacyę odrzucono z powodu przedawnienia.

Oświata. W Kutnie zawiązał się komitet obywatelski dla założenia w tem mieście szkoły realnej.

— W Sierpeckiem grono obywateli założyło czytelnię ruchomą.

Wymowa cyfr. Wobec artykułów wielu gazet rosyjskich o „ruskiem Zabużu,“ nie od rzeczy będzie przytoczyć cyfry wzięte ze źródeł urzędowych (*Pamiatnaja knižka lublinskoj gubernii*). W gub. lubelskiej w 1882 r. było katolików 537,000, prawosławnych 166,000, protestantów 20,000 i żydów 118,009 (bierzemy cyfry okrągłe). Tylko w powiecie hrubieszowskim prawosławni stanowili większość (56%), a w tomaszowskim i chełmskim było ich więcej niż katolików, ale w stosunku do ogółu ludności tylko $45\frac{1}{3}$% i 41%.

Produkcya węgla. Najwięcej węgla kamiennego dostarczają kopalnie w Anglii, bo aż 154 mil. tonn, w Ameryce 76 milionów, w Niemczech—48, Francyi—20, Belgii—17, Austryi—15 i Rosyi wraz z Królestwem 3 mil. tonn.

Żydzi w Galicyi. W prowincyi tej żydzi stanowią 12% ludności, w ciągu ostatnich lat 15 liczba ich wzrosła o 20%, kiedy innych narodowości tylko o 8%. W Brodach stanowią 78% ludności, w Borysławiu 86% a w Wiśniczu aż 92%. W ostatnich czasach rzucili się do nabywania ziemi i w jednym horodeńskim powiecie kupili 50 osad włościańskich i 22 większych majątków.

Wywóz drzewa. Wisłą do Prus spławia się rocznie drzewa za 5,000,000 rs., nie licząc tranzyta z Galicyi. W ostatnich latach cyfra ta nieco się zmniejszyła—widać brak już lasów. Przestrzeń leśna w Królestwie wynosi 4,007,000 morgów, ale właściwie pod lasem znajduje się tylko 3,409,000, bo na 538,000 m. wycięto drzewo i nie obsiano na nowo. Normalny wyręb powinien wynosić 121 milionów stóp kub., gdy tymczasem wywozi się 728 milionów.

Statystyka. 1600 majątków w Królestwie należy do poddanych obcych państw, z nich $\frac{1}{3}$ do austryackich, prawie $\frac{2}{3}$ do niemieckich. Poddani innych państw stanowią bardzo mały procent.

— W gubernii kaliskiej przestrzeń ziemi, należącej do rządu i instytucyj publicznych, wynosi 39,650 morgów, w posiadaniu obywateli polaków znajduje się 746,946, żydów 41,632, niemców rosyjskich poddanych 82,421 i cudzoziemców 130,406 morgów. Włościanie według tabel likwidacyjnych posiadają 714,970 i od obywateli odkupili 56,798 morgów za sumę 3,650,090 rubli.

— *Gazeta polska* podaje statystyczne dane, dotyczące ludności polskiej na Litwie i Białej Rusi. W gubernii grodzieńskiej polacy stanowią 14% ludności, a w niektórych powiatach daleko więcej, np. w bielskim 35% a w białostockim 38%. W gubernii wileńskiej 12% (w powiecie wileńskim 22%), mińskiej 11,2%, w kowieńskiej blisko 5%, mohylewskiej 3,5% i w witebskiej 3,1%. Cyfry te zbliżone są dosyć do rzeczywistości, według nich liczba polaków w kraju północno-zachodnim dochodzi 600.000.

Zmarli: Konstanty Branicki, miłośnik przyrodoznawstwa.

— Władysław — brat poprzedzającego — znany filantrop.

— Julian Duvaux, artysta malarz — wszyscy trzej w Paryżu.

— Dr. Ryszard Lepsius, znakomity egiptolog, badacz starożytności—w Berlinie.

— Paweł Morphy, głośny szachista—w New-Yorku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani W. Ł. w Częstochowie. Zakładu tego wcale Pani nie zalecamy.

P. W. A. w Słobódce kadyjewskiej. Odebraliśmy tylko rs. 2.

OFIARY.

Dla powodzian. Prof. J. Baudouin de Courtenay rs. 3, M. R. rs. 4 kop. 50, Janiszewski z Czehryna rs. 1, Ludwik Iwanicki z Kijowa rs 5 i na Galicyę rs. 5, Klementyna z Kijowa rs. 8, Bednarzewski z Lebiedynia rs. 10, W. K. z prowincyi rs. 1, L. J. rs. 5, L. M. rs. 3—z Mironówki; Hela Skupiewska rs. 1, Konstancya Skupiewska rs. 1; Inżenierowie: Wilejszys rs. 4, Strumiłło rs. 3, Jakutowicz rs. 3—z Pińska; S. J. rs. 1.

Dla biednej. J. B. kop. 50, Bezimienne z prowincyi rs. 10, S. ze Starokonstantynowa rs. 6, M. B. rs. 1.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Іюля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.